3 1761 08822325 0

H. Sienkiewicz

# PISMA

# PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXIV

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

# Pisma

# Henryka Sienkiewicza

TOM LXXIV

## NA MARNE

486130
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 октября 1904 г.

# NA MARNE

# I.

— Otóż i Kijów!

Tak mówił do siebie młody człowiek, nazwiskiem Józef Szwarc, wjeżdżając do starożytnego miasta, gdy rozbudzony formalnościami rogatkowemi, ujrzał się niespodzianie wśród ulic i zabudowań miejskich.

Serce zadrgało mu radośnie: był młody, darł się do życia, więc też wciągał w szerokie płuca, ile mógł, świeżego powietrza i z wesołym uśmiechem powtórzył:

— Otóż i Kijów!

Buda żydowska toczyła się zwolna, podskakując na wystających kamieniach. Szwarcow sprzykrzyło się siedzieć w niej pod przykryciem z płótna, kazał tedy żydowi skierować do najbliższego zajazdu, a sam szedł obok piechotą.

Potoki ludzi, jak zwykle w mieście, płynęły w rozmaite strony, sklepy błyszczały wystawą, powozy mijały się jedne z drugimi, kupcy, generałowie, żołnierze, żebracy, mnisi, snuli się przed oczyma Szwarca. Dzień był handlowy,

miasto więc przybrało typowy widok tego rodzaju zbiorowisk. Tu nic nie było na darmo: żaden ruch, żadne słowo nie zdawało się być zmarnowane. Kupiec za handlem, urzędnik za urzędem, złodziej za oszustwem — wszystko goniło przed siebie z jakimś wyraźnym celem, wszystko pchało przed siebie życie, myśląc o jutrze, dążąc do czegoś... a po nad tym gwarem i ruchem unosiła się atmosfera gorąca i słońce zarówno odbijało się w błyszczących szybach gmachów, jak w pierwszem lepszem okienku.

— A to zawierucha! — myślał Szwarc, który nie był nigdy w Kijowie, ani w żadnem większem mieście. — To życie!

I zadumał się nad szaloną różnicą między ciasnem życiem w małem miasteczku, a szeroką scenę działania w wielkiem, gdy w tem z zadumy wyrwał go znany dobrze głos:

— Dalibóg Józef!

Szwarc obejrzał się, popatrzał kilka chwil na człowieka, który go nazwał po imieniu, wreszcie roztworzył szeroko ręce i zawołał:

— Dalibóg Gustaw!

Gustaw był to mały i chudy mężczyzna, lat około dwudziestu trzech; długie włosy, kasztanowatego koloru, spadały mu prawie do ramion krótkie rude wąsy, obcięte równo z ustami, czyniły go na pozór starszym, niż był w istocie.

— Cóż porabiasz Józiu? Dlaczegoś przyjechał? Do uniwersytetu? Nieprawdaż?

— Tak.

— Dobrze robisz. Nędzne bo to życie bez nauki — mówił, sapiąc Gustaw. — Na jakiż fakultet myślisz chodzić, hę?

— Nie wiem jeszcze, zobaczę — wybiorę.

— Namyśl się dobrze. Ja tu już rok jestem, to się mogłem rozpatrzyć. Wielu żałuje zawczesnego wyboru, ale cóż robić potem? Wracać się za późno, iść naprzód nie ma sił. Łatwiej zrobić głupstwo, niż je naprawić. Jutro zaprowadzę cię do uniwersytetu; tymczasem, jeśli nie masz mieszkania, każ znieść rzeczy do mnie, mieszkam niedaleko. Możesz odemnie zacząć; jak ci się naprzykrzę, poszukasz sobie innego kolegi.

Szwarc przyjął propozycyę Gustawa i za chwil kilka byli już w małej studenckiej izdebce.

— Hę, dawnośmy się nie widzieli; rok jak skończyliśmy szkoły — mówił Gustaw, ustawiając kuferek i zawiniątko Szwarca. — Rok, kawał czasu. Cóżeś robił przez ten cały rok?

— Siedziałem u ojca, który mi nie pozwalał iść do uniwersytetu.

— A cóż mu to szkodziło?

— Człowiek był dobry, ale prosty — kowal.

— A cóż teraz pozwolił?

— Umarł.

— Dobrze zrobił — mówił kaszląc Gustaw. — Przeklęta astma! dręczy mnie od pół roku. Dziwisz się, że sapię?... Będziesz i ty sapał, gdy

posiedzisz nad książkami tak, jak ja. Z dnia na dzień, ani chwili spoczynku. A i z biedą gryż się, jak pies z psem... Pieniądze masz?

— Mam, sprzedałem domostwo po ojcu: mam dwa tysiące rubli.

— Setnie!... To ci wystarczy. Mnie bieda! przeklęta astma! Oj, tak! Trzeba się uczyć! Zaledwie wieczorem trochę odetchnienia: dzień na prelekcyach, noc na robocie... Ani się przespać! To u nas! Jak wejdziesz w nasze życie, zobaczysz, co to uniwersytet! Dziś cię zaprowadzę do klubu, albo po prostu — knajpy, trzeba się zapoznać z kolegami: dziś zaraz pójdziesz tam ze mną.

Gustaw bez przerwy kręcił się po pokoju, sapiąc i pokaszlując. Patrząc na jego zgarbione plecy, zapadłą twarz i długie włosy, możnaby go wziąć za człowieka zmęczonego wesołem życiem, nie pracą; ale stosy książek i zapisanych papierów, ubóstwo w urządzeniu izby, aż nadto świadczyły, że gospodarz należał do owego rodzaju nocnych ptaków, co więdną zgarbieni nad książką i umierają z myślą o kreskowaniu lub niekreskowaniu jakiejś litery.

Szwarc jednak oddychał pełną piersią atmosferą izdebki; był to dla niego świat nowy i odrębny zarazem. Kto wie — dumał, — jakie myśli tryskają z tych głów, mieszkających na czwartych piętrach? kto wie, jaką przyszłość gotują nauce takie poddasza?

— Poznasz dziś jeszcze wielu z naszych — mówił Gustaw, wyciągając z pod łóżka samowar o jednej nodze i podstawiając pod niego dla równowagi stłuczony garnek. Niech cię nie zraża ten wieczór — ciągnął, sypiąc węgle do samowara — zrobię herbaty... niech cię nie rażą te szalone po części głowy. Jak się rozejrzysz w mieście, poznasz, że i tu głupców nie brak, ale są i tęgie głowy. Zresztą, zobaczysz. Życie to nasze trochę sztuczne, trochę szalone, ale idzie naprzód niemałym krokiem. Oryginałów nie brak, chociaż i bezbarwności pełno czczej, śmiesznej i najgłupszej ze wszystkich głupot. W jednych głowach się pali, a w drugich ciemno — ot, jak teraz na dworze.

Przez chwilę cisza panowała w izbie, słychać tylko było sapanie i dmuchanie w samowar Gustawa. Rzeczywiście, wieczór powoli zapadał, na ścianę i podłogę izby padał mrok coraz większy; ogniste kółko, odbite z samowara na podłodze, zwiększało się lub gasło w miarę, jak Gustaw dmuchał, wreszcie woda zaczęła szumieć, sykać i pryskać; Gustaw zapalił świecę.

— Masz tu herbatę. Pójdę na lekcyę — mówił dalej — ty poczekaj tu na mnie, najlepiej prześpij się na mojem łóżku. Jak wydasz pieniądze, musisz i ty postarać się o lekcye. Nudna to rzecz, ale cóż robić? Jest przytem przykra strona życia studenckiego, ale co tam ci naprzód mówić!! Nasz świat i reszta świata, to

rzecz zupełnie odrębna. Ani nas tu lubią, ani przyjmują i kłócimy się ze wszystkimi, nawet ze sobą... Trudne życie! Jak zachorujesz, jeśli nie kolega, nikt ręki nie poda — to los nas ubogich. Ba, zresztą gniewa ludzi, że my komedyi nie gramy, że nazywamy rzeczy po prostu.

— Czarno rzeczy widzisz — zauważył Szwarc.

— Czarno, czy nie czarno — odrzekł z goryczą Gustaw — zobaczysz. A ja ci powiadam, że nie na różach będziesz sypiał... Młodość ma swoje prawa, swoje wymagania. Z tych praw i z tych wymagań w oczy ci się rozśmieją, powiedzą żeś niedowarzony, nazwą egzaltacyą. A tobie dyabli do tego, jak się to nazywa, kiedy cię to pali lub boli... Zresztą, zobaczysz... Nalej sobie herbaty i połóż się spać — za godzinę wrócę, a teraz daj mi tam czapkę i bywaj zdrów.

Przez chwilę słychać było jeszcze sapanie i kroki Gustawa na schodach. Szwarc został sam.

Słowa Gustawa dziwne na nim zrobiły wrażenie. Szwarc pamiętał go innym: dziś w głosie jego brzmiała jakaś zrzędność i zniechęcenie, jakiś ponury nastrój umysłu przebijał się przez te słowa nawpół porwane, nawpół smutne. Dawniej był zdrów na umyśle i ciele, dziś oddychał z trudnością, w mowie i ruchach jego była dziwna gorączkowość, jak u człowieka, który się wyczerpał.

— Czy go tak już zmęczyło życie? — myślał Szwarc. — Więc to tu trzeba walczyć, trzeba iść przeciw prądowi trochę, a ten biedak widać sił nie miał. Tu trzeba zwyciężyć! Widać, świat nie nazbyt lekką dłonią spoczywa na nas. Do licha, to tu nie łatwa sprawa... Gustaw coś bardzo mizantrop, musiał nieźle osmalić piórka. Ależ on tu nie próżnuje, więc jeszcze idzie naprzód. Może to tylko skorupa ta mizantropia, pod którą wygodniej i bezpieczniej?... Ale jeśli rzeczywiście trzeba iść na przebój lub zginąć? ha!... to pójdę! — zawołał z mocą młody człowiek, lubo w tym wykrzykniku więcej było stanowczości niż zapału.

W godzinę po owym monologu sapanie znowu dało się słyszeć na schodach i w tej chwili wszedł, a raczej wsunął się Gustaw.

— No, dalej za mną! — zawołał. — Stoisz w przedsionku wiru studenckiego życia; dziś zobaczysz jego stronę weselszą. A nie trać czasu!

Mówiąc to, kręcił czapkę w ręku i rzucał oczyma na wszystkie strony, potem przysunął się do stolika i, wydobywszy z niego grzebień, począł czesać swe długie, płowego, a raczej wypłowiałego koloru włosy.

Wreszcie wyszli na ulicę.

W Kijowie naówczas były knajpy, gdzie zbierali się studenci. Okoliczności istniały takie, że nie można było żyć z całem miejscowem towarzystwem. Już to tam owe różne koterye

miejskie niechętnie u siebie widziały młodzież, którą dopiero przyszłość miała wyrobić na ludzi. Z jednej strony brak statku, gwałtowność słowa, buta i inne przyrodzone zwykle młodości cechy, nie bardzo chciały się giąć do form towarzyskich; z drugiej, prowincya dostarczała swojskiego żywiołu tylko w czasie zimy lub kontraktów; — jakoś więc uniwersytet zawiązał się w ciało zamknięte w sobie, żyjące życiem książkowem w dzień, klubowem w nocy. Z wielu nawet powodów było to więcej dobrze niż źle, bo jakkolwiek młodzież wychodziła nieotarta w świecie, za to żartka i do czynów pochopna; ludzi znudzonych i przeżytych między niemi, tak, jakby nie bywało.

Nasi znajomi przeszli szybko środek ulicy, kierując się ku oświetlonym oknom klubowego domu. Po pod światło księżycowe można było odróżnić szeroką i silną postać Szwarca, obok zgarbionych pleców i wielkiej głowy Gustawa. Ten ostatni biegł nieco naprzód, rozmawiając z Józefem lub z sobą na przemiany; następnie zatrzymał się pod oknem, a ująwszy się za gzymsy i podciągnąwszy w górę, jął pilnie rozpatrywać wnętrze kawiarni; wreszcie spuścił się na dół i, otarłszy kolana z wapna zawołał:

— Niema.

— Kogo?

— Albo już była, albo wcale nie przyjdzie.

— Kto taki?

— Która godzina?

— Po dziesiątej. Kogo upatrywałeś przez okno?

— Wdowy.

— Wdowy? któż to jest?

— Boję się, czy nie chora.

— Znajoma twoja?

— Oczywiście. Gdybym jej nie znał, tobym się nią nie zajmował.

— No, to jasne — odpowiedział Szwarc; — chodźmy.

Przycisnął klamkę drzwi: weszli.

Gorąca a dymna atmosfera owiała ich. W perspektywie wnętrza sali widniały różnego wieku twarze, po części obce dla Szwarca. Między kłębami dymu, zaciemniającego światło kinkietów i wybuchami śmiechu, błąkały się tony fortepianu, jakby zmęczone a niedbałe; wtórowała im gitara, na której od czasu do czasu brzdąkał wysoki, chudy młodzieniec, z przyciętymi przy samej skórze włosami i szramą na twarzy. Długimi palcami bałamucił po strunach, a wielkie niebieskie oczy utopił w pułap, utonąwszy w zamyśleniu. Ten który siedział przy fortepianie, ledwo wyszedł z dzieciństwa; cerę miał mleczną, włosy ciemne, zgarnięte ku tyłowi głowy, słodycz w czerwonych ustach, a smutek w oczach; był delikatny i wątłej budowy ciała, a urodziwy. Widać grał tu oddawna, bo już czerwone plamy na obu policzkach, zwia-

stowały w nim wielkie zmęczenie. Tylem do światła stało kilku Pińczuków, a wszystko chłopy jak dęby, a tak przytem chciwe na wszelaką gędźbę, że byle zagrano w klubie, obstępowali w koło grającego i ze zwieszonemi głowami słuchali muzyki, wzdychając, lub radując się z nią razem. Inna młodzież siedziała na ławkach lub krzesłach; kilka młodych dziewcząt z rodzaju koników polnych, prześpiewujących lato, kręciło się tu i ówdzie. Było gwarno; gdzieniegdzie brzękły kufle. W alkierzu obok sali grano zapamiętale w karty, a przez nawpół przytwarte drzwi widać było twarz jednego z grających: zapalał w tej chwili cygaro od stojącej na rogu stołu świecy, a przytłumiony lub wznoszący się chwilowo płomień oblewał od czasu do czasu ostre jego rysy. Bufetowa z doskonałą obojętnością przypatrywała się pod światło końcowi pióra, którym zapisywała dzienne wydatki; obok na stołku drzemała z cudowną równowagą jej pomocnica, a kot siedzący na rogu stołu, otwierał czasami oczy i zamykał je z wyrazem godności i filozoficznego spokoju.

Szwarc obrzucił wzrokiem zgromadzenie.

— Ho! jak się masz Szwarc? — odezwało się kilka głosów.

— Dobrze. Jak się wy macie?

— Do nas na stałe?

— Na stałe.

— Przedstawiam go, jako członka szano-

wnego zgromadzenia klubowego. Ty zaś wiedz raz na zawsze obowiązki: przychodzić tu codziennie; przywileje: nie wysypiać się nigdy po ludzku — chrypał Gustaw.

— Jako członka? tem lepiej! Zaraz tu usłyszysz mowę... Hej tam, Augustynowicz zaczynaj!

Z drugiego pokoju, w którym grali w karty, wyszedł młody człowiek o przygarbionych plecach i prawie łysej głowie. Wyglądał szpetnie, rzucił czapkę na stół i, siadłszy na krześle, tak mówić zaczął:

«Panowie! Jeżeli nie będziecie cicho, zacznę mówić uczenie, a wiem, moi drodzy, że nie ma nic dla was równie obmierzłego, jak wszelka uczoność. Wreszcie, na Jowisza! przyzwyczajajcie się do życia parlamentarnego. Co to jest? Słyszę hałas? Cicho mi, cicho! Zaczynam mówić uczenie!»

Jakoż, pod wpływem groźby, chwilę zapanowała cisza; mówca spogląda tryumfalnie i mówi:

«Panowie! Jeśli zebraliśmy się tutaj, to nie na to, aby w samym tylko spoczynku szukać wspomnienia chwil przykrych (bardzo dobrze!) Powie mi ktoś, że zbieramy się tu codzień (bardzo dobrze!) Wszak ja tu codzień przychodzę i wcale tego zaprzeczać nie myślę — nie zaprzeczycie także, że dziś jestem! (oklaski; mówca promienieje i mówi dalej): Cicho! Jeślibym miał sądzić, że wszelkie moje usiłowania w celu nadania celowości naszym zebraniom, odbite od

lekkomyślności ogólnej, bo mogę ją nazwać ogólną (można! można!), niekierowane prądem zgody powszechnej, rozdrabniając w samym nawet zbiorze (uważcie panowie: w zbiorze) jednolite usiłowania pojedyńczych, jeżeli dążności, oznamionowane prawidłowym celem zjednoczenia luźnych myśli w jakąś organiczną całość, nie zejdą nigdy z pola marzeń na realniejsze pole działania, tedy ja pierwszy, panowie, a ręczę, że i wielu innych ze mną zgodzi się na zaprzeczenie sensu dotychczasowemu sposobowi naszego bytu (oklaski!) i przedsięweźmie inne środki (tak! tak!), obowiązujące, jeżeli już nie wszystkich, to wybranych» (oklaski).

— Co to znaczy? — spytał Szwarc.

Gustaw ruszył ramionami.

— Mowa.

— W jakim celu?

— Ale cóż to kogo obchodzi!

— Co to za jeden?

— Nazywa się Augustynowicz. To dobra głowa, ale w tej chwili jest pijany, słowa mu się plączą: wie jednak, czego chce i dalibóg ma racyę!

— Czegóż chce?

— Żebyśmy się tu daremnie nie schodzili, żeby zebrania nasze miały jakiś cel, ale śmieją się i z celu i z mowy. Zresztą, z konieczności pociągnęłoby to za sobą rozbrat ze swobodą

i spoczynkiem, które dotychczas w tych zebraniach panowały.

— A jakiż cel chce im nadać Augustynowicz?

— Literacki, naukowy.

— Dobrzeby było.

— Powiedziałem, że ma racyę i gdyby kto inny proponował, rzeczby może przeszła.

— No, a on?

— Na wszystkiem, czego się dotknie, zostawia ślady własnej śmieszności i poniżenia. Strzeż się Szwarc! tyś wprawdzie w niczem, ile cię znam, do niego niepodobny, ale tu każdemu nie w ten, to w inny sposób noga może się pośliznąć...

Gustaw powiódł zamglonemi oczyma po Augustynowiczu, ruszył ramionami i mówił dalej:

— Dziwnie się los składał na tego człowieka. Mówiłem ci: to zbiór wszelkich zdolności a małego charakteru, wyniosłych chęci a nędznych czynów — wieczny rozbrat! Niema w nim żadnej równowagi między żądaniem a siłą, dla tego marnuje się.

Tymczasem zbliżyło się kilku znajomych Szwarca; przy kuflu pogawędka stała się ogólną. Szwarc wypytywał o uniwersytet

— Żyjecie wszyscy razem?

— Niepodobna — odrzekł jeden z Litwinów.— Masz tu ludzi z najróżniejszemi pojęciami, stąd i różne koterye.

— To źle.

— Nieprawda! Przypuszczam jedność jakichś wyższych celów; jedność w pożyciu koleżeńskiem jest niemożliwa, dla tego na nic się nieprzyda starać się o nią.

— A niemieckie uniwersytety?

— I tam masz ferajny, żyjące tylko w sobie. Życie uczuć i myśli, przynajmniej u nas, winno być zgodne z praktycznem, dla tego różność pierwszego, rodzi różność w drugiem.

— Nigdy się więc nie łączycie?

— To znowu co innego. Łączymy się w interesie uniwersyteckim, lub obchodzącym wszystkich. Zresztą, myślę, że sprzeczności, jakie tu napotkasz, dowodzą naszej żywotności; to znak, że żyjemy, czujemy i myślimy. W tem nasza jedność, to, co nas rozdziela, łączy nas.

— Pod jaką tedy chorągwią wy stoicie?

— Pracy i biedy. My nie mamy swojego nazwiska. Chłopomani zwą nas piekarczykami.

— Co?

— A tak. Życie cię nauczy, co to jest. Każdy z nas stara się zamieszkać tam, gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrabiać sobie kredyt. To nasz sposób; zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego, ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo, jak zechcesz.

— To wesoło!

— A wesoło. Prócz naszej koteryi, nie mającej węzłów zbyt ścisłych, masz tu chłopomanów; założył ich i sformował Antoniewicz, pro-

wadzili czasowo Rylski i Stępkowski, ale dziś to są już głupcy, którzy nie wiedzą, czego chcą; mówią po małorusku i piją prostą wódkę — oto wszystko.

— A więcej jakież są koterye?

— Jasno określonych nie ma więcej, ale są rozmaite odcienie. Jednych łączy wspólność idei naukowych, drugich wspólność towarzyskiego stanowiska. Masz tu demokratów, arystokratów, liberalnych, ultramontanów, wreszcie hultajów, kobieciarzy, próżniaków, jeżeli chcesz, i nakoniec zagorzałych pracowników.

— Kto tu uchodzi za najtęższą głowę?

— Między studentami?

— Tak.

— Stosownie do fachu. Mówią niektórzy, że Augustynowicz umie wiele — ja dodam, że niedobrze. Scisłą, jednolitą pracą i nauką odznacza się Gustaw.

— Aa!

— Tylko, że rozmaicie o nim mówią. Niektórzy go nie cierpią. Mieszkając z nim razem, ocenisz go najlepiej... Albo, naprzykład, stosunek jego do wdowy? Ot, egzaltowana sztuka! inny nie takby sobie postępował. Prawda, że z nią dziś nie łatwo.

— Słyszałem mówiącego o niej Gustawa; powiedz-że mi raz przecie, co to za jedna?

— Jestto młoda osoba, znajoma nas wszystkich. Smutne przechodziła koleje. Kochała da-

wniej Potkańskiego, jurystę, a kochała go podobno szalenie. Ja tam już nie pamiętam tych czasów, Potkańskiego pamiętam jednak. Był to chłopiec zdolny, ogromnie bogaty i pracowity; był w swoim czasie bożyszczem kolegów. Jakim sposobem poznał wdowę, nie wiem, różnie mówiono; to tylko pewna, że kochali się do upadłego. Ona nie miała wówczas więcej nad ośmnaście lat. Nakoniec, Potkański postanowił się z nią ożenić! Co wyrabiała jego rodzina, by temu przeszkodzić, trudno opisać, ale Potkański, energiczna sztuka, postawił na swojem i wziął z nią ślub, mimo wszelkich przeszkód. Żyli z sobą rok jeszcze. Raptem on zapadł na tyfus i umarł, pozostawiwszy ją tak, jak na bruku, bo majątek zabrała rodzina. Dziecię już żyjące, umarło także wkrótce, ona została sama i gdyby nie Gustaw, to — ot, zmarniałaby ze szczętem.

— Cóż Gustaw?

— Cudów dokazywał. Z nędznymi środkami pozywał Potkańskich — Bóg wie, czy byłby sprawę wygrał, bo to rodzina magnacka, tyle jednak zrobił, że chcąc uniknąć skandalu, obowiązali się wypłacać wdowie jakąś szczupłą pensyę do śmierci.

— Dzielnie się spisał.

— Ba, ba! Niech go, co za energia! A pamiętaj, że był wtedy pierwszy rok na uniwersytecie, bez znajomych, w obcem mieście, bez

środków; ale to tak, mój kochany: bogaty może sobie radzić — biedny musi.

— Ale co miał dla niej za obowiązki?

— Był przyjacielem Potkańskiego, ale to jeszcze mało, kochał ją podobno, nim została jego żoną, trzymał się jednak zdaleka, teraz już się z tem nie kryje.

— A ona?

— E! e! ona od czasu nieszczęść, jakie przeszła, wpadła w zupełne odrętwienie — po prostu zwaryowała. Ani wie, co się z nią dzieje, obojętna na wszystko, zresztą, zobaczysz ją dziś pewno, bo codziennie tu przychodzi.

— I w jakim celu?

— Mówię, waryatka. Wieść chodzi, że pierwszy raz poznała Potkańskiego w knajpie, owóż teraz nie wierzy podobno, że umarł i chodzi po całym świecie, zwyczajnie, jak waryatka! Istotnie, gdyby zmartwychwstał, a nie poszedł prosto do niej, pewnoby go tu, nie gdzieindziej, znalazła. Ha! może przypominamy jej Potkańskiego: u nich wielu młodzieży bywało.

— Że to jej Gustaw pozwala tu przychodzić?

— Potkański-by nigdy na to nie pozwolił... ale Gustaw, ten jej niczego nie wzbroni.

— Jakże ona go traktuje?

— Jak stół, jak stołek, talerz lub kłębek nici. Zdaje się go nie widzieć, ale i nie unika, zawsze obojętna, apatyczna. Musi go to gryźć,

ale to jego rzecz. A! ot, masz ją! ta, co wchodzi na prawo.

Gdy wdowa weszła, uciszyło się cokolwiek, wejście tej tajemniczej postaci zawsze robiło wrażenie. Wzrostu więcej niż średniego, szczupła, twarz miała pociągłą, jasno-blond włosy i ciemne oczy; ramiona jej i piersi, jakkolwiek szczupłe, miały okrągłą pełność form dziewiczych, czoło zaledwie dostrzegalne; w tył posunięte, wznosiło się smutno, poważnie, jakby marmurowe. Oczy głęboko pod czołem osadzone, jakby w cieniu, obrysowane były z góry jednym delikatnym łukiem brwi. Dziwne były jej oczy: koloru stali, świeciły jak stal polerowana, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcej; pod owym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli. Możnaby rzec o tych oczach: patrzą, ale nie widzą. Nie wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisania; dodajmy, że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewny ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący, a jednak mechaniczny.

Reszta twarzy wdowy odpowiadała oczom, usta były zagięte nieco ku dołowi, posągowe, a płeć jednostajna, matowa, blada, nosiła cokolwiek śniadawy odcień. Nie była ani śliczna, ani ładna, była tylko dokładnie piękna. To było w niej dziwnego, że z twarzy zdawała się być zamarłą, a w całej jej postaci było coś takiego,

co ciągnęło ku sobie niewypowiedzianie męską stronę ludzkiej natury. Stanowiło to jednak wdzięk. Była do najwyższego stopnia posągiem, ale i do najwyższego stopnia kobietą. Ciągnęła i odpychała. Gustaw to czuł najlepiej. Trudno to było pogodzić z ową chłodną martwotą, dlatego wrażenie, jakie budziła, zdawało się jakby nie od niej, jakoby obce dla niej.

Był to niby kwiat uśpiony: boleść ją tak uśpiła. Rzeczywiście ciosy, jakie wytrzymała, były uderzeniem niby obucha w głowę. Pamiętajmy, że na drodze tej kobiety krótkie chwile szczęścia kończyły dwie trumny. Jako dziewica, umiała kochać, ten, którego kochała nie żył, jako żona i matka, porodziła dziecię, dziecię umarło. To, co jej dawało prawo, co było powodem i skutkiem jej życia, zniknęło. Odtąd przestała żyć, istniała tylko. Wyobraźmy sobie roślinę, którą podcięto z góry i z dołu — to była ona. Odarta z przeszłości i przyszłości, z początku nosiła w sobie mętne pojęcie bezczelnej krzywdy, którą jej wyrządzono. W pierwszej chwili bólu rzuciła — trudno wiedzieć komu — to bezdenne, jak otchłań, pytanie: dlaczego się to stało? Odpowiedź nie przyszła ani z błękitów, ani z ziemi, ani z pól, ani z lasów; krzywda została krzywdą, słońce świeciło i ptaki śpiewały jak dawniej. Potem to nieszczęsne serce ścisnęło się w sobie własnym bólem i zmartwiało. Odpowiedź nie przyszła, ale przyszedł obłęd, straciła wtedy

wiarę w śmierć męża, sądziła, że wziąwszy na ręce rozpłakane dziecię, poszedł gdzieś, ale że wróci lada chwila. Tymczasem, zgoła niezdolna już do żadnej innej myśli, szukała go owym przykrym mechanicznym ruchem oczu. Chodziła do klubu, myśląc, że tam go znajdzie, gdzie go poznała. Na nieszczęście, nie umarła. Natychmiast znalazła się dzielna ręka, co ją usiłowała wyrwać z obłędu, i pierś, która chciała ją rozgrzać. Marne to było usiłowanie, ale przecież uratowało jej życie. Miłość Gustawa oplotłszy ją, niby pajęczą nicią, ratunkiem i opieką, nie puszczała jej od ziemi. Jego głos wołał na nią: «zostań!» więc, choć nie było w niej nań echa, została jednak, ale bez świadomości o sobie, bierna, jakby rzecz, a nie istota ludzka.

Taką była wdowa.

Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętnym majestacie. W klubie było dymno i parno; w powietrzu drgały jeszcze ostatnie dźwięki piosenki, trochę rozpustnej i rubasznej zarazem, a na owem nieczystem tle zakwitła wdowa, jak wodny kwiat na mętnej fali. Uciszyło się. Szanowano ją tam — w jej obecności nawet Augustynowicz stawał się znośnym; niektórzy pamiętali Potkańskiego, inni schylali głowy przed jej nieszczęściem, byli i tacy, co czcili w niej piękność! Zebranie przybrało tedy przyzwoitszy pozór.

Gustaw podsunął przybyłej krzesło i, zdjąwszy z niej szal ciepły, odszedł w kąt do Szwarca, który zajęty i zdziwiony, zwracał na nią błyszczące oczy.

Gustaw począł rozmowę ze Szwarcem.

— To ona! — rzekł półgłosem.

— Rozumiem.

— Nie pokazuj jej się bardzo. Biedactwo! każda nowa twarz sprawia jej zawód, wciąż szuka męża.

— Dawno ją znasz?

— Drugi rok. Na ślubie Potkańskiego byłem świadkiem i drużbą (Gustaw uśmiechnął się gorzko). Po jego śmierci widuję ją codzień.

— Mówił mi Wasilkiewicz, że dałeś jej pomoc i opiekę.

— Dałem, nie dałem; musiał się tem ktoś zająć, to ja się zająłem, ale taka też to i opieka. Rób, co chcesz, pracuj, lataj, zabiegaj — bieda i bieda! Ot, czasem rozpacz ogarnia.

— A rodzina?

— Jaka?

— Jego?

— Krzywdzą ją! — wołał gwałtownie Gustaw.

— Ale to bogaci ludzie podobno?

— Krzywdzą ją! Panki! nabożnisie! Jeszcześmy nie skończyli; długo popamiętają krzywdę tego gołębia. Słuchaj, Szwarc! żeby maleń-

kie dziecko tego rodu prosiło mnie o kawałek chleba z głodu, tobym go wolał psu rzucić!

— Romanse!

— Szwarc, nie krzywdź mnie! Ja biedny człowiek słów nie marnuję; ale Potkański już w szpitalu, przed samą śmiercią oprzytomniał trochę i powiada: «Gustawie, zostawiam ci żonę, przyjmij ją». Powiadam: «Biorę ją w opiekę». On pyta: «Nie dasz jej z głodu mrzeć?» Mówię: «Tak!» On znowu: «Nie daj, pomścij, jakby ją kto chciał krzywdzić». Ja na to: «Jak mi Bóg i życie miłe, pomszczę!» Potem zgasł jak gromnica — ot, masz wszystko!

— Nie wszystko, nie wszystko, bracie!

— Mówił ci i resztę Wasilkiewicz. To dobrze! Powtórzę ci toż samo: Nie mam nikogo na świecie: ani ojca, ani matki, sam bieduję z dnia na dzień, a z życiem wiąże mnie (pokazał oczyma wdowę) ta jedna.

A tu mało świadomy jeszcze Szwarc miał sposobność ocenić to, co jest namiętność, gdy wzbierze w młodej piersi i ognia do krwi doleje. Ów suchy i skurczony Gustaw zdawał się w tej chwili nabierać sił i życia, zdawał się wyższym i mężniejszym, wstrząsnął włosami jak lew grzywą, na twarz wystąpił rumieniec.

— No, panowie! — zabrał głos Wasilkiewicz — godzina późna, a nie wszystkich czeka sen po wyjściu stąd. Jeszcze jedna nasza piosneczka, a potem, kto woli, dobra noc!

Siedzący przy fortepianie, o dziewiczej twarzy, młodzieniec wziął kilka znanych akordów; wkrótce zabrzmiała, z początku na kilka, potem na cały chorał młodych głosów rozłamana, miła młodzieży piosenka: «Gaudeamus«.

Szwarc zbliżył się więcej, niż inni, do fortepianu. Stał bokiem odwrócony do wdowy, pod światło, ale kinkiet, wiszący przy ścianie obrzucał profil jego, jakby jedną ognistą linią. Za chwilę promienie oczu wdowy padły na ową linię, niespokojnie wiążąc ją z własnemi myślami; nagle podniosła się blada jak marmur, z gorączkowem światłem w oczach i, wyciągnąwszy rece przed siebie, krzyknęła:

— Kazimierzu mój, znalazłam cię!

W głosie jej czuć było nadzieję, trwogę, radość i przebudzenie. Ucichło. Wszystkich oczy zwróciły się na Szwarca, i tych, którzy znali Potkańskiego, dreszcz przebiegł. W świetle i cieniu ta wysoka, silna postać była jakby odbiciem postaci Potkańskiego.

— Nie spostrzegłem się — mruczał Gustaw, wracając o świcie do domu — hm! no, już jej przeszło, ale gorączka była!... Podobny jest w istocie... Niech to dyabli porwą!... A dusi mnie dziś w piersiach przeklęcie.

## II.

Szwarc długo się namyślał nad wyborem wydziału.

— Dałem sobie uczciwe słowo honoru, że się nie zmarnuję w życiu, dlatego myślę — mówił Wasilkiewiczowi.

A to już trzeba przyznać, że uniwersytet wabił go nie na żarty. Z różnych stron świata, jakby stada żórawi, ciągnęła tam młodzież. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili czerpać w spragnione głowy. Zabiegali tam ludzie wedle nauki, jak pszczoły wedle miodu; kupili się, rozpraszali i tłumnie chodzili; czerpali z nauki, czerpali z siebie, czerpali z życia; oddawali ją i odbierali napowrót; zamykali ją lub rozrzucali, szli naprzód, stawali, padali, zwyciężali i łamali się z nią; kąpiąc się w tem morzu, tonęli niektórzy, inni wypływali. Ruch, gwar — życie panowało niezmierne. Uniwersytet był to niby wspólny matecznik, gdzie miały się zapładniać mózgi; coś nakształt wrzątku, kipiącego rozumem i młodością. Otwierał się co rok, wydając dojrzałe owoce, a przyjmując natomiast nowe szczepy. Ludzie rodzili się tam raz drugi. Pięknie było patrzeć, jak owa młodzież nakształt fal wodnych wylewała się stamtąd na świat corocznie, niosąc ciemnym światło, niby żywność glebie ludzkiej. Na takie to morze dostała się łódka życia Szwarca,

gdzie miał zawinąć? Różne fakultety, niby porty, nęciły go. Gdzie się kierować? Długo namyślał się, wreszcie wpłynął.

Wybrał fakultet medyczny.

— Niech się co chce dzieje, muszę być i bogatym — powiedział, rozstrzygnąwszy kwestyę wydziału.

A było tego wahania tyle dlatego, że Szwarca jako otwartą głowę, niezmiernie obchodziły tajemnice nauki. Ciągnęła go i literatura i prawo, nauki przyrodnicze uważał za tryumf myśli ludzkiej. Co do tych nauk, opinię tę wyniósł jeszcze ze szkół. Był tam młody nauczyciel chemii, wielki entuzyasta, ten wychodzącym ze szkół uczniom swoim powiedział pewnego razu, położywszy rękę na sercu:

— Wierzcie mi moi drodzy, że po za naukami przyrodniczemi istnieje tylko gadanina.

Wprawdzie i prefekt, kończąc rekolekcye, zapewniał, że tylko nauka kościelna prowadzi człowieka do szczęśliwości wiekuistej, ale Szwarc, którego prefekt już wówczas nazywał «wszetecznym kacerzem», zrobił tak brzydki grymas, że z jednej strony wzbudził śmiech we wszystkich obecnych, z drugiej ściągnął słuszne po części gromy na swą głowę.

Wybrał tedy fakultet medyczny.

Zresztą podziałał nań w tym względzie Wasilkiewicz. Ten Wasilkiewicz, sam student, miał słusznie czy nie słusznie ogromny wpływ na

młodzież. Zdarzyło się, że na pogawędce studenckiej jakiś gramatyk filolog z większą hipokryzyą niżeli szczerością dowodził, że człowiek, który się odda nauce, powinien jej jednej poświęcić samego siebie, zapomnieć o świecie i szczęściu, a wcielić się w nią, być tylko jej wyrazem, zasadą, słowem. Więcej w tem dowodzeniu było fałszywego zapału i nadętości, niż prawdy.

— Mówiono — prawił mowca — że rybak islandzki zapatrzył się w blask zorzy północnej i nie bronił się prądom. Fale go niosły na głębię, a on z oczyma utkwionemi w zorzę stał cały czerwony w jej promieniach, aż wreszcie porwał go duch otchłani i zamknął pod szklaną falą, ale w oczach rybaka zostały odbite światła zorzy.

— Oto nauka i życie — mówił dalej — kto raz przed nią uchyli czoła, tego niech fale życia niosą, na jakie chcą głębie, światło nam pozostanie.

Są zasady w świecie, których się nie uznaje, ale by przeciw nim wystąpić, trzeba niemałego zapasu odwagi. Owóż między młodzieżą jeden i drugi milczał, tylko Wasilkiewicz sapał gniewnie i podnosił się na krześle, wreszcie zerwał się i zaczął mówić:

— Tfu na próżne słowa! Niech Niemiec z taką nauką się żeni, nie my. U mnie nauka dla ludzi, nie ludzie dla niej. Niech Niemiec

zmienia się w pergamin. Głupi był twój rybak; żeby był wiosłem robił, zorzę-by widział i ryb dzieciom przywiózł. A to co znowu? Toż ludziska i cierpią i głodem a zimnem przymierają, a ty będziesz się odrywał od świata i ciężarem mu będziesz, nie pomocą?

— Oj Tetwin, Tetwin! (tak się nazywał poprzedni mówca) patrz na znaczenie, nie na dźwięk słów swoich. Głupstwo łączyć umiecie z rozumem! Dziś ci się zdaje, że się wyrzekniesz szczęścia dla kilku wypłowiałych kartek. Nieprawda! Jak przyjdzie chwila, a zaboli cię pierś serdecznie, to zatęsknisz poczciwie do szczęścia i do kochania. Ot, u mnie, naprzykład, na Żmujdzi, w chacie para staruszków: ojciec i mać, jakby gołąbki białe, a jedno drugiemu prawi o mnie mizernym takie rzeczy, jakby o królewiczu złotym. Cóżbym ja był wart, gdybym, zamknąwszy się w książce, nie pomyślał o nich, a opuścił na stare lata? Pekby na mnie! Ot, przyszedłem tutaj i u nauki o nich i o siebie się upomnę. I nie ja jeden. Każdy, kto rolę uprawia, ma prawo jeść chleb ze swojej roli. To raz! Nauka nauką, a uczony niech się nie odrywa od życia, niech mi nie będzie niedołęgą... Uczony, uczony!... a kamizelki sam sobie zapiąć nie umie, dzieci nie chowa, o żonę nie dba. Czemu nie godzić praktyki życia z nauką? czemu jej nie wlać w życie i samej życiem nie ożywić?

Tak mówił Wasilkiewicz.

Powiedział i sapał.

Nie w tem rzecz, czy fałsz, czy prawdę powiedział: my dlatego przytoczyliśmy tę rozmowę, że Szwarc, z natury skłonny ku praktyce, wziął ją do serca, rozważał, myślał dumał i obrał fakultet medyczny.

Niech co chce będzie, człowiek przynosi na świat pewne skłonności.

Szwarc z przyrodzenia był usposobienia realnego, jakoś więcej przystawał do rzeczy, niż do idei; nie lubił także wszelkiej dyalektyki. Daleko wolał widzieć przedmiot takim jak jest, aniżeli piękniejszym niż jest. Dwojaki jest ruch myśli w głowach ludzkich: jedne dążą wiecznie od środka, drugie przenoszą wszystko do środka, pierwsze wchodzą w rzeczy badane i ożywiają je łącząc się z głównem źródłem zaledwie delikatną nitką świadomości — są to tak zwane zdolności twórcze; drugie chwytają niejako rzeczy, przenoszą do własnego źródła, łącząc je, pojmując dopiero tam, układając i porządkując — są to zdolności naukowe. Tamte wrodzone twórcom, te badaczom. Różnica między niemi taka, jak między rozrzutnikiem i sknerą, jak między oddychaniem a wdychaniem.

Trudno powiedzieć, które lepsze: jedne mają dar stwarzania, drugie odtwarzania, a nadewszystko przetwarzania. I w drugich jest niby coś czynnego — prawda, że i żołądek ma tę własność.

Doskonała równowaga między ruchem od środka i do środka jest genialnością. Naturalnie konieczną jest wtedy i szerokość ruchów.

Szwarc miał owe drugie zdolności — skupiające.

A nietylko je miał, ale i wiedział o tem; przeświadczenie to chroniło go w życiu od wielu niewłaściwości, nadawało pewną równowagę jego chęciom i siłom: nie przedsiębrał nic, coby dlań było niemożebnem.

Rachował się ze sobą.

A miał nakoniec wiele zapału, który w nim możnaby nazwać zaciętością w nauce. Umysł, który lubił na wszystko patrzeć trzeźwo, chciał widzieć wszystko trzeźwo, żeby zaś widzieć dobrze, trzeba wiedzieć dobrze. Nie umiał zgadywać, potrzebował znać.

To sprawiło, że nie uczył się nigdy przez połowę.

Jak pająk muchę, tak on przedmiot badany skwapliwie omotowywał siecią myśli, wciągał go w siebie, możnaby rzec, wsysał i przetrawiał.

Myśli jego miały przytem wysoką ruchliwość. Pożądał — naturalny wynik młodości.

Był samodzielny aż do zarozumiałości. Częstokroć odrzucał zdanie przyjęte ogólnie, właśnie dlatego, że miało za sobą powagę. Przyznać jednak należy, że wtedy starał się wynaleźć wszystko, co było contra — nie znalazłszy, ustę-

pował. Miał przytem niemałą energię myśli i czynu.

Wszystko to stanowiło jego siły, jego broń, poczęści zdobytą już, poczęści wrodzoną. Zapomnieliśmy dodać, że posiadał jeszcze dwa tysiące rubli.

Zrachowawszy owe zasoby, wziął się do medycyny. Ale im z większym zapałem wziął się do niej, tem więcej rozczarował się z początku. On lubił wiedzieć, a tam trzeba było pamiętać.. To lada kto potrafi, przynajmniej jest to kwestya pamięci i woli, nie zaś rozumu. Należało mieć pamięć oczu, pamięć ręki, trzeba było jedno i drugie i dziesiąte włożyć sobie surowo do głowy, umieścić od czasu do czasu jak zboże w śpichlerzach. Była to praca niemal rzemieślnicza, organizm umysłowy nie korzystał z tych zapasów, bo się nie przetrawiał, ani przerabiał. Brakło tam pożywności. Filozofia fizycznego ustroju organizmów może dorównać subtelnością i ogromem rezultatów wszystkim innym, ale Szware zaczął dopiero poznawać sam organizm; wskazówek, czy istnieje jakaś filozofia tych nauk, nie dano mu dotychczas żadnych.

Wziąwszy się raz, trzeba było brnąć dalej. Brnął.

A techniczna strona zajęć naukowych była przykra, niewdzięczna, pełna utajonych trudności, niespodziewanych tajemnic, nieraz ciemna,

często ledwo dojrzana, najczęściej wstrętna, zawsze pracowita.

Rzekłbyś, że tu natura wypowiadała wojne umysłowi ludzkiemu.

Szwarc łamał się z trudnościami i szedł dalej.

Owa technika miała jeszcze jedną stronę smutną w oczach Szwarca: źle wpływała moralnie.

Odkrywała koniec życia, nie wskazując, czy istnieje ciąg dalszy. Zdejmowano tam bez najmniejszego wahania zasłonę ze śmierci. Cała ohyda tej podziemnej robotnicy ukazywała się tam z nagą bezczelnością. To, co było umarłego, było zarazem cyniczną obietnicą dla żywych. Śmierć przy jasnym dniu zdawała się mówić: do widzenia w ciemnościach! Była niby zapowiedzią, noszącą w sobie desperackie wskazówki bezsilności człowieka wobec tej siły nieubłaganej, złośliwej, bezczelnej i obmierzłej zarazem. Ta właśnie siła budziła w młodych umysłach gwałtowną reakcyę.

Reakcya ta objawiała się tak:

— Nie traćmy czasu, używajmy życia, bo, prędzej czy później, wszystko dyabli wezmą!

Przy tych zajęciach delikatność uczucia zacierała się stopniowo; obojętność wyradzała się w brutalność, ambicya w zawiść, miłość przechodziła w namiętność, namiętność w popęd. Miłość była jak słońce widziane przez zakopcone szkło: czujesz ciepło, ale nie widzisz światła.

Szwarc bronił się tym wrażeniom, otrząsał się z nich, odrzucał je i szedł dalej.

Nakoniec należało być wiernym naukowej zasadzie. Kto ma zaufanie do jednej drogi, nie ma go do drugiej; ta, którą obrał, wydaje mu się najlepszą. W tej, którą Szwarc obrał, wszystko od czasów Hipokrata opierało się na doświadczeniu. Wzrok, słuch, smak, powonienie i dotykanie — oto jedyne kryterya, na których opiera się ta już dziś wielka budowa.

Tak wierzy zwłaszcza młodzież, jako skrajniejsza we wszystkiem od starszych. Co przeszło w naukę inną, niedoświadczalną drogą — było wątpliwem. Każdy, według własnych pojęć, sądzi pojęcia innych. Przypuszczenie czegoś stojącego po za empiryą, a jednak prawdziwego, przez takie szkła wydaje się lekkomyślnością. Istnieją tylko rzeczy już zbadane. Ogniwa przyczyn i skutków są koniecznością lub myślą, ale dopiero w człowieku; historya — kroniką mniej wiecej skandaliczną; prawo — opartem na doświadczeniu *modus vivendi* społeczeństw; spekulacya — chorobą umysłową.

Szwarc nie bronił się tym myślom, bo mu nie przeszkadzały iść dalej.

Zresztą pracował.

## III.

Upłynął miesiąc. Wieczór był jesienny, pogodny; słońce zwolna gasło na wieżach kijowskich i na dalekich mogiłach stepowych. Na strychu w mieszkaniu Szwarca i Gustawa widno było jeszcze. Obaj, schyleni nad pracą, siedzieli w milczeniu, chwytając skwapliwie ostatnie blaski wieczoru. Gustaw niedawno powrócił z miasta; był blady i zmęczony, sapał więcej niż zwykle, na twarzy znać było jakąś niespokojność, gorycz, a nawet ból niby tajony, a jednak widoczny w gorączce oczu. Milczeli obaj, widać jednak było, iż Gustaw chciał przerwać to milczenie, bo nieraz zwracał się do Szwarca, ale jakby z trudnością przychodziło mu wymówić pierwsze słowo, znów zatapiał się w książce. Wreszcie widoczna niecierpliwość wybiła mu na twarz, porwał czapkę ze stołu, wstał i spytał:

— Która godzina?

— Szósta.

— Dlaczego nie wybierasz się do Potkańskiej? Przecież tam do niej codzień chodzisz.

Szwarc wstał i zwrócił się ku Gustawowi.

— Gustawie, sam i na własne jej żądanie zaprowadziłeś mnie do niej. Mniejsza o to, nie chcę mówić o tem, co dla nas obu byłoby przykre; zresztą, rozumiemy się doskonale. Otóż nie pójdę do Potkańskiej ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Masz na to moje słowo i moją rękę.

Stali więc w milczeniu, Szwarc z wyciągniętą naprzód ręką, Gustaw, wahający się i zmięszany drażliwem położeniem, wreszcie ścisnął za rękę Szwarca.

Widocznie słowa obu przychodziły z trudnością; jeden nie umiał zdobyć się na serdeczniejsze wyrazy, drugi na serdeczniejsze podziękowanie.

Za chwilę rozstali się.

Dziwne to nieraz bywają uczucia, a sprzeczne z tem, co nam przedstawiają jako nagrodę szlachetnego czynu. Szwarc przyrzekł Gustawowi nie widywać wdowy. Czy ją kochał, czy nie, zawsze to była z jego strony ofiara, bo w jego mozolnem, a jednostajnem życiu, ona była jedynym jaśniejszym punktem, około którego lubił krążyć myślą. Niechby marzenie o niej było tylko zapełnieniem owych chwil oderwanych od ciężkiej pracy, a poświęconych na spoczynek i swobodę umysłu; zrzekać się takich chwil, było odbierać powab odpoczynkowi, było to wyrywać próżnicę w życiu, tam, gdzie uczucie mogło kiełkować i zakwitnąć.

Szwarc po krótkim namyśle zrobił to bez wahania.

Zrobił ofiarę.

A jednak, kiedy Gustaw wyszedł ze stancyi, na twarz Szwarca wybił wyraz niechęci, niesmaku, gniewu nawet. Byłże to żal przeszłości lub spełnionego przed chwilą czynu?

Nie.

Kiedy Szwarc wyciągnął rękę do Gustawa, ten ostatni wahał się z jej przyjęciem. Nie przyjąć ofiary, dawanej przez duszę energiczną, jest to okryć sam czyn ofiarny odcieniem śmieszności i to w przekonaniu samego ofiarodawcy; jest to być niewdzięcznym; jest to rzucić ziarno głuchej nienawiści w bujną niwę miłości własnej.

Ale przyjąć ofiarę współzawodnika, to dla duszy bogatej w dumę jest podłożyć swoje »ja« moralne pod czyjeś nogi, to przyjąć gwałtem wtykane groszaki jałmużny w rękę, co się po nic nie wyciągała. Ma to coś z lekkiego kopnięcia. Duma woli być wierzycielem niż dłużnikiem.

Dlatego Gustaw wyszedłszy na ulicę, skrzywił usta gorzką ironią, a przez zaciśnięte wargi mruczał do siebie z cicha:

— Coraz to lepiej! Łaska, łaska! Kłaniaj się teraz codzień panu Szwarcowi i dziękuj za łaskę. Wesołe życie!

I zadumał się głęboko, a przykro. Przestał nawet myśleć o sobie, marzył tylko boleśnie. Czuł w duszy jakiś odgłos smutny, a gwałtem dopominający się choćby jednej chwili szczęścia. Głos ten dźwięczał w nim, jak urwana struna. Rozdzieliła się myśl i dusza. Jedna połowa zmęczona wołała na gwałt spoczynku, druga ponura a sprężysta rwała się jeszcze do życia. Jedną połową myśli widział światło i cel,

drugą połowę zwracał chmurnie w nicość i ciemność. A było jeszcze na dobitkę coś takiego w tym zgryźliwym człowieku, co drwiło z własnego bólu; niby jakiś demon złośliwy wskazywał mu jedną ręką postać jego własną, bladą, brzydką, skurczoną, drugą niby w obłokach, niby w świetle poranku Potkańską w całej jej przepysznej piękności i marmurowym spokoju.

Gdy tak rozrywany gwarem wewnętrznej walki szedł, sam prawie nie wiedząc dokąd, nagle usłyszał za sobą dobrze znany głos, śpiewający basem wesołą piosnkę:

Hop! hop! hop! hop!
I podkówka tęgo kuta i t. d.

Obejrzał się — był to Wasilkiewicz z Augustynowiczem.

— Dokąd idziesz, Gustawie? — spytał pierwszy.

— Ja?... ha! dokąd? — spojrzał na zegarek — Do wdowy jeszcze za wcześnie! Tymczasem idę do klubu.

— No, to idź prosto do wdowy.

— Co? dlaczego?

— Biada ci! — zawołał Augustynowicz, wzniosłszy ręce do nieba i nie zważając na przechodniów, zaczął głośno deklamować:

Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

— Niemasz po co chodzić do klubu — dorzucił Wasilkiewicz.

— Cóż się stało?

— Smutek tam lęgnie się ze zgrozą — prawił Augustynowicz.

— No gadajże, co się stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Okropne!

— Wasilkiewicz, powiedz za niego po ludzku!

— Władza uniwersytecka zamknęła nasz klub. Ktoś doniósł, że się tam studenci zbierają.

— O której się to stało?

— Dwie godziny temu.

— Trzeba się iść dowiedzieć na miejscu.

— Nie radzę ci. Wsadzą do kozy.

— »Białe ci dłonie skrępują powrozem...«

— Augustynowicz, cicho bądź! Dlaczegoż tego nie zrobili wieczorem? Byliby nas połapali, jak ryby w matni.

— No, chodziło więcej o zamknięcie, niż o połapanie nas; gdyby jednak ktoś teraz przyszedł, złapaliby go niezawodnie.

— Dokąd wy idziecie?

— »Jak na hasło trwogi, klany szlą krzyż ognisty...«

— Prosiłem cię, żebyś był cicho!...

— »Tak mężny Rodryg...«

— Tak, tak — przerwał Wasilkiewicz —

idziemy ostrzedz innych, i dlatego bądź zdrów, albo chodź z nami...

— Nie mogę.

— Dokąd idziesz?

— Do Potkańskiej.

— Bądź zdrów!

— Do widzenia!

Gustaw, zostawszy sam, zatarł ręce; na chwilę uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego chmurną twarz. Cieszył się z zamknięcia klubu, zniknęła bowiem obawa, że wdowa, dowiedziawszy się o postanowieniu Szwarca, może znów zechce chodzić do klubu, by go tam widywać. Obawa była uzasadniona: Gustaw pamiętał, że mimo próśb i perswazyi, zaledwo tylko obietnicą przyprowadzenia Szwarca do jej mieszkania, mógł ją powstrzymać od tego niestosownego kroku.

Teraz nie miał się już czego obawiać.

Za chwilę pociągnął dzwonek w mieszkaniu wdowy.

— Jak się pani miewa? — spytał służącej.

— Zdrowa, tylko chodzi po pokoju i gada do siebie — odrzekła służąca.

Gustaw wszedł do pokoju.

Mieszkanie wdowy obejmowało dwa pokoiki z oknami wychodzącemi na ogród: pierwszy był niby salonikiem, drugi sypialnią, do której teraz wszedł Gustaw. W sypialni wierzchnia część okna, łukowato wygięta i oddzielona wązką li-

stwą drewnianą, miała kolorowe szyby, ułożone w rozetę niebieską i czerwoną naprzemian. W jednym kącie stał stolik mahoniowy, okryty mięko strzyżoną aksamitną serwetą, na którym były dwa fotografowane portrety. Jeden w drewnianych inkrustowanych ramkach przedstawiał młodego człowieka, o wysokiem czole, blond włosach i pięknych arystokratycznych rysach twarzy — to był Potkański; na drugim była wdowa z maleńką, biało ubraną dziewczynką na kolanach. Przed portretami leżał wianek z nieśmiertelników, obwinięty krepą i gałązka suchego mirtu.

W drugim końcu pokoju, między dwoma łóżkami, przedzielonemi wązkim odstępem, mieściła się kolebka, dziś — pusta, niegdyś — pełna szczebiotu i gwaru dziecinnego. Zielona jej powłoczka, umalowana od szyb kolorowem światłem, zdawała się poruszać lekko. Można było mniemać, że lada chwila odsunie ją bieluchna rączka i radosna główka dziecięcia wejrzy na matkę. Cichy smutek panował w atmosferze tego pokoiku. Liście wglądającej przez okno akacyi rysowały się ciemno na podłodze, a poruszane wiatrem ustępowały migotliwie światłu i wracały napowrót. Przy drzwiach była mała statuetka z kropielnicą, pod spodem przedstawiająca anioła chrztu z wyciągniętemi, jakby do błogosławieństwa rękoma. W chwili, o której mówimy, głowa anioła w blaskach kolorowych

jaśniała, jakby łagodną gloryą słodyczy niewinności i spokoju. Zresztą cichość była w pokoikach wielka. Ile dziś smutku, tyle tam dawniej było wesela. Cóż to za radość i szczebiotanie bywało, gdy Potkański przyszedłszy wieczorem, zmęczony pracą, obejmował kibić żony, odgarniał jej złote włosy i całował to ukochane a pogodne naówczas czoło! Ile było cichej a głębokiej radości, kiedy stali tak milczący, z piersią na piersiach, z oczyma w oczach, podobni do posągu miłości. Potem, bywało, biegli do kolebki, gdzie dziecina gwarzyła na różne sposoby ze sobą i, podnosząc nóżki, śmiała się do szczęśliwych rodziców. Teraz tam było pusto. Dziwnie była rozrzewniającą ta kolebka. Zdawało się, że tam jest dziecię. Nieraz wdowa, wkrótce po swojem nieszczęściu, budząc się w nocy, kładła ostrożnie rękę w tę kolebkę, w przekonaniu, że Bóg musiał zlitować się nad nią i, wyjąwszy dziecię z grobu, włożył je tam napowrót.

Słowem, dużo widziały te ściany: radość kołysaną szczęściem pogodnej miłości, potem rozpacz, łzy wielkie jak perły, wreszcie smutek cichy, martwy, uporny, obłędny.

Taka była i takie budziła myśli sypialnia wdowy. Salonik, jak wszystkie na świecie, miał niby trochę elegancyi, dużo pustki. I tam zdawały się błądzić echa chwil przeszłych: był widny, czysty, ale pospolity. Przytykało do niego mieszkanie służącej, mała, ciemna alkowa,

z wyjściem na schody z przepierzeniem drewnianem. Było to dawne mieszkanie Potkańskiego. Po jego śmierci trudno było zrozumieć, skąd wystarczały fundusze na taką siedzibę, to jednak należało do Gustawa, on sam wiedział, co robił. Pretensyi ze strony właściciela nie było żadnych — jak zaś to tam się robiło, potem powiemy.

Ile razy Gustaw wchodził do owego pokoiku, drżał.

W miejscu, gdzie jej było pełno wszędzie, gdzie wszystko, co nie było nią, było dla niej, uczuwał zawsze rodzaj ciężaru na piersiach; niby jakaś ręka wgniatała mu serce głębiej. Ciśnienie to jednak było rozkoszne. Było to zbieranie się w sobie piersi, jakby dla uchwycenia tem więcej powietrza. Być ugniecionym dłonią poczucia szczęścia, to prawie być szczęśliwym; tylko że poza tem leży cały bezbrzeżny obszar pragnienia. Rozlewa się wtedy ono na całego człowieka, wchodzi w krew, objawia się w drżeniu słów, w blasku źrenic. Pragnienie owo samo nie wie czego żąda. Między »za mało« i »za dużo« niemasz tam granicy. Jest to wstydliwe żądanie wszystkiego. Bywa wtedy człowiek śmielszy na zewnątrz, niż na wewnątrz; przerażają go własne słowa; zdaje mu się, że ktoś inny mówi, streszcza się w spojrzeniu, chce się roześmiać spazmatycznie, albo wybuchnąć. Kocha,

czci, ubóstwia kobietę jak anioła, a anioła pragnie jako kobiety.

Tego doświadczał Gustaw, gdy wchodził do pokoiku wdowy. Wszystkie rodzaje pragnień jakie duch i krew razem wytworzyć mogą, nalatywały wtedy nań zewsząd, niby stada ptactwa.

Ona stała przed nim.

Wyglądała blado, na policzkach jej przebijał się lekki ślad rumieńca, lub może odblask wieczoru. Delikatny jej profil rysował się milcząco, jak sylwetka na tle okna. Trzymała w ręku grzebień i, stojąc przed małem zwierciadłem srebrnem, czesała włosy. Przepyszne, rozpuszczone sploty wiły się, niby fale, koło jej bladego czoła. Złoto owo spływało po jej piersiach i plecach, zdawało się kapać jak rozpuszczony bursztyn.

Spostrzegłszy Gustawa, powitała go dłonią i ledwo dostrzeżonym uśmiechem.

Wdowa już wyszła z dawnej swej skamieniałości. Nagłe a gwałtowne wstrząśnienie, jakie widok Szwarca na niej wywołał, ocuciło ją. Poczęła myśleć. Jednej tylko rzeczy nie mogła z początku rozwiązać: postać Szwarca tak w jej umyśle plątała się z postacią Potkańskiego, że sama nie wiedziała, czy mąż jej dawny nazywał się Szwarc czy Potkański. Były to resztki obłędu. Ale wkrótce wrócił promień światła w ów pokryty ciemnią umysł. Prosiła Gustawa,

by mogła widywać Szwarca; Gustaw lubo z niechęcią, zgodził się na to. Z tęsknotą wyczekiwała wieczoru, kiedy mogła oglądać to dawne wspomnienie szczęścia. Nie Szwarca, ale wspomnienia w nim szukała. Był jednak dla niej koniecznym.

Zwolna też i bardzo nieznacznie przeszłość zmieniała się na teraźniejszość, marzenie na rzeczywistość. Szwarc, spostrzegłszy to, przyrzekł Gustawowi nie bywać; przygotować i oznajmić tę wieść Helenie należało do Gustawa.

Łatwo było przewidzieć, jakie wrażenie musiało to na niej wywrzeć. Klasnęła w dłonie i odrzuciła w tył głowę. Potok włosów z szelestem okrył jej plecy.

— Gdzie ja go zobaczę? — pytała natarczywie Gustawa.

Ten milczał.

— Ja muszę go widzieć, tu czy gdziekolwiek. On tak podobny do Kazimierza... Boże mój! Ja cała żyję... tem wspomnieniem. Panie Gustawie...

Gustaw milczał.

Oburzał go niemal ten ślepy egoizm wdowy. Dramat poczynał się w nim rozgrywać na nowo. Ona go prosiła, by zrobił wszystko dla podkopania własnego szczęścia! Nie, na to trzeba być głupcem! Ale znowu — to ona prosiła. Przyciął wargi do krwi i milczał. Przecież i jemu należy się coś od życia. Wszystko, co w nim składało człowieka, opierało się jej prośbom z rozpaczliwą energią — ona tymczasem nagliła:

— Panie Gustawie, pan potrafisz to zrobić, żebym ja go widziała. Ja go chcę widzieć! Dlaczego mi wyrządasz taką krzywdę?

Gustawowi pot zimny okrył czoło, przeciągnął ręce po twarzy i ponurym głosem odpowiedział:

— Ja pani nie krzywdzę... ale... — tu głos mu zadrżał, Gustaw zrobił wysilenie, żeby jej nie paść do nóg i nie krzyknąć: «ale kocham ciebie! nie dręcz mnie!» — ale... on tu nie zechce przyjść — kończył zaledwie dosłyszalnie.

Dużoby dał, gdyby mógł uniknąć tej chwili.

Helena zakryła twarz rękoma i padła na fotel.

Milczenie panowało znów przez chwilę i słychać było szmer liści za oknem... a tu dusza człowiecza wiła się w walce z sobą. Sprowadzać Szwarca po to, by mu odebrał Helenę, było to dla Gustawa już wyuzdanie nieszczęścia.

Ale walka krótko trwała: ukląkł przy Potkańskiej i, cisnąc jej rękę do ust, mówił przerywanym głosem:

— Zrobię, co będę mógł... Przyjdzie tu!... Co komu do mnie?... Przyjdzie, ale, nie mogę powiedzieć kiedy... ja go sam przyprowadzę...

Wkrótce potem, wychodząc z mieszkania wdowy, mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Tak... przyjdzie! ale nie ja go przyprowadzę... przyjdzie... za miesiąc... za dwa... Za miesiąc może już będę spokojny.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze rozmyślania. Długi czas błąkał się jeszcze po ulicach, kiedy wrócił do domu, na wieży kościelnej wybiła druga.

Szwarc już spał. Oddychał równo, spokojnie... Swiatło lampy padało mu na wyniosłe czoło i odkryte piersi... Gustaw wpatrzył się w owe piersi gorączkowo.

Oczy błyszczały mu nienawiścią.

Przesiedział tak z godzinę, nagle drgnął...

— Oprzytomniał.

Budziło się w nim uczucie zupełnie sprzeczne z tem, czego doświadczał dotychczas. Uczuł, że był głodny. Przeszedł więc ku półkom, na których leżały książki i, wydobywszy z nich kawał razowego chleba, począł go jeść skwapliwie.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach.

---

## IV.

Nadchodziła jesień. Zimno było po mieszkaniach biedniejszych studentów. Jaki taki, owinąwszy się kołdrą i włożywszy czapkę na głowę, rozgrzewał się książką. Mieszkania studentów, którzy mieli za co palić w piecu, roiły się mnóstwem kolegów. Do klubu nie schodzono się więcej. Były z początku usiłowania, żeby obrać

i sformować jakiś inny, ale spełzło to na niczem, bo z jednej strony Gustaw, z drugiej — Szwarc, który miał już znaczny wpływ na studentów, opierali się temu zgodnie. Szczególniej Szwarc, który uważał, że kluby dużo zabierają czasu, a mało pożytku przynoszą, chciał zaprowadzić reformę w tym względzie i udało mu się nakoniec. Mimo wszelkich głosów przeciwnych bronił tej myśli w uniwersytecie, a szczególniej w mieszkaniu Wasilkiewicza, gdzie schodzono się ochotniej niż gdzieindziej. Wasilkiewicz mieszkał u Karwowskiego, a raczej ten ostatni u Wasilkiewicza, bo jakkolwiek Karwowski majętny bardzo (był to ów blady młodzieniec, który grywał kolegom w klubie), opłacał daleko znaczniejszą część mieszkania, duszą, jednak i osią owego kawalerskiego gospodarstwa był nasz żmujdzin.

Godna była podziwu, a nawet zazdrości, przyjaźń między tymi dwoma młodymi ludźmi. Jeden delikatny, pieszczony, piękny, z głową pełną najszlachetniejszych marzeń, łagodny i lubiony od wszystkich, płynął lekko przez życie wśród wygód i dostatków; — drugi, prawdziwy litwin, brzydki, dziobaty, z krótko strzyżoną czupryną i iskrzącemi oczyma, żywy, pracowity, energiczny, a głęboko wykształcony, był dla pierwszego jakby opiekunem lub starszym bratem. Wasilkiewicz posiadał serce gorące i, jak to mówią, niby na dłoni. Gdy raz Karwowski za-

chorował niebezpiecznie, pilnował go dniem i nocą z prawdziwie bezprzykładnem zaparciem się siebie, a gdy wreszcie wyzdrowiał — litwin płakał i wymyślał mu z radości.

— Ach ty, błaźnie! — mówił — jemu to zachciało się chorować! Sprobuj-no tylko jeszcze raz to zrobić!

Studenci nazywali ich dobranem stadłem; dziad, żebrzący niedaleko ich domu, stary ślepiec ukraiński, któremu często dawali jałmużnę, mawiał o nich «dobry panyczi».

Łączyło ich wiele stosunków, a w szczególności jeden, o którym zaraz powiemy. Latem, bywało, przepędzali ferye na wsi u Karwowskich. Tam była siostra Karwowskiego, panienka niełądna, słabowita, ale dziwnej dobroci serca, cicha, spokojna, prawdziwy anioł, z opaloną twarzyczką i wątłą postacią. Owóż tę panienkę kochał Wasilkiewicz, kochał po swojemu, bardzo głęboko, z wiarą w nią i w siebie, a co większa ze wzajemnością. Rodzice jej niebardzo tam o tem wiedzieli, a jeśli i wiedzieli, nie chcieli przeszkadzać młodym. Panienka była niełądna, on uczciwy i pewny człowiek, równoważyło to trochę nierówność położenia towarzyskiego. Zresztą nie chcieli syna pozbawiać towarzystwa, które ze wszechmiar mogło mu tylko wyjść na korzyść.

Jeszcze jedną dobrą stronę miał ten litwinisko: kochał nad wszystko rodziców swoich, staruszków, jak ich nazywał. Staruszkowie sie-

dzieli na głębokiej Żmujdzi, już bliżej Inflant, byli biedni, syn im pomagał. Ojciec jego był pobereźnikiem w lasach. Chata tam stała nizka, a naokoło szumiał las i bełkotały fale, za lasem i za falą był znowu las i fale — zapadły kąt pojezierski! Dyabeł tam mieszkał, wedle podań miejscowych, ale jakoś nie przeszkadzał staruszkom. Tam to ujrzał światło dzienne Wasilkiewicz.

Chłopakiem będąc, chodził na ryby, tłukł się za kaczkami na pojeziorzu, wybierał gniazda na moczarach. Była to natura zdrowa i dzielna. Wykołysała go przyroda, uczyły go i ptaki i drzewa i fale. Począwszy od paproci leśnej aż do buku, co sam nie wiedział, gdzie mu się w niebie wierzch podział, wszystko to było dlań księgą, której pierwsze słowa sam się nauczył czytać. Ptasie rzeczypospolite wyspowiadały mu swoje prawa; raz widział, jak bobry biły ogonami tamę na strumieniu; wiedział jak za głosem żołny można trafić do barci ukrytych; umiał borsukom wybierać młode; nawet i wilczaki przynosił niekiedy żywcem do domu. Gdy podrósł, ojciec nauczył go czytać, wywlókł ze skrzynki trochę zapleśniałych miedziaków i oddał do szkół synala. Odtąd zaczęły się cięższe czasy. Trzeba się było uczyć — uczył się tedy. Dużo było-by opowiadać, ile i co tam on przechodził, nim dobrał się do uniwersytetu i zaczął być takim, jakim go poznaliśmy.

Rodzice stokrotnie płacili mu za miłość. Była to istotnie para ubielonych wiekiem gołąbków, kochających się między sobą, zgodnych i szczęśliwych.

Szczęście i spokój mieszkały tam w tej chacie. Zdarzają się, lubo zrzadka, takie świetliste miejsca na ziemi, niby oazy na pustyni. Staruszkowie cieszyli się sobą, zabiegali wedle siebie, jakby w pierwszych dniach po ślubie, nazywali się sokolikiem i jagódką; a jaka tam radość była, gdy syn zjechał na święta, tego już żaden język wypowiedzieć, ani żadne pióro opisać nie zdoła. Z Wasilkiewiczem przyjeżdżał i Karwowski. Staruszkowie lubili go i rozpieszczali także, ale nie było dla nich, jako ich Jasiek, którego często po prostu «nasz» nazywali.

Nieraz, gdy młodzi ludzie, zmęczeni całodziennem bieganiem po puszczy, wrócili wieczorem późnym do domu, staruszkowie, idąc spać, gwarzyli o nich zcicha. Oto, co raz Karwowski usłyszał przez przepierzenie alkierza:

— Ono to gładki chłopiec ten Karwowski! — mówił staruszek.

— Ale nasz równo jeszcze gładszy — odparła staruszka.

— O, gładszy, gładszy!

Tymczasem ten «nasz» był sobie szpetny, co się zowie, ale przez pryzmat rodzicielskiej miłości wydawał się im urodniejszym od całego świata. Tak to nie rzeczywistość sama, ale serce, z ja-

kiem ku niej przystępujemy, daje rzeczom kształty i kolory.

Ale wróćmy do Kijowa i do naszych znajomych. Nic dziwnego, że przy takich gospodarzach, jak Wasilkiewicz i Karwowski, mieszkanie ich, w którem, prócz tego, był piec doskonały, stało się ogniskiem dla wielu z młodzieży. Kupiła się tam nawet poniekąd inteligencya uniwersytecka, utworzył się rodzaj wieczorów literackich. Wszyscy, co tylko czuli jakąś żyłkę pisarską, publikowali tam swoje utwory. Dłuższe wieczory jesienne zmieniły się na prawdziwe posiedzenia literackie. Ile tam myśli gorących wypowiedziały młode usta, trudnoby policzyć. Gospodarze, Szwarc przez krótki czas, Gustaw, a szczególniej Augustynowicz, wodzili rej na tych zebraniach. Szwarc spróbował był swoich sił twórczych, ale mu nie szło jakoś, nie miał talentu, po prostu nie umiał obrazować, tworzyć, ani nawijać własnych pomysłów na ową złotą nić fantazyi, co to niby w promieniach tęczowych wykąpie rzecz każdą, nim ogrzaną i rozświeconą rzuci w świat nakształt błyskawicy letniej nocy.

Ale miał za to inny rodzaj talentu. Sądził zdrowo, a co większa dowcipnie. Kiedy przeczytawszy własny utwór, począł go rozbierać wobec wszystkich, wesołe śmiechy trwały do późna w mieszkaniu. Tak bywało i z innemi; jeżeli szydził, leciały wióry z owych pierwotnych

płodów, składanych na ołtarzu sztuki. Umiał tak głos i wyraz twarzy nastroić, do toku słów własnych, że, jeżeli chciał, najsmutniejsza rzecz budziła śmiech największy. Jednało mu to wielkie poważanie. Szczególnie ci, co czując sympatyę do księżyca uderzali w sentymentalne struny serc swoich, obawiali się go jak szatana.

Wasilkiewicz jędrnie opisywał swoje bory litewskie i jeziora. Karwowski dopuszczał się od czasu do czasu pieśni lirycznych, w których rosa, łzy, konwalie i westchnienia gadały z sobą, jak ludzie. Zresztą, nie o rozsądek tam chodziło, ale o miłość wiejskiego pastuszka do brzeziny polnej, która po jego śmierci «wzięła i zwiędła», według słów tych smutnych pieśni.

Były tam tedy rzeczy lepsze i gorsze; śmieszności zdarzały się często, ale czasem trafiło się i coś lepszego, czego warto było posłuchać, zwłaszcza, że powoli, wprawą i krytyką, zaczęły się tu i owdzie mniejsze lub większe zdolności okazywać.

Ale wśród wszystkich celował zawsze Augustynowicz. Nieraz bywało przyjdzie, Boże odpuść! pijany; zeszyty ma potłuszczone i brudne, pisane dorywczo, byle zbyć; ale jak zacznie czytać, zapomnisz o wszystkiem, duszą przylgnąwszy do słów jego. Niejeden dołożył i ręki i głowy, wyciągnął z siebie, co tylko było najlepszego, napisał rzecz mniej więcej dobrą, ale pospolitą. Ten «oczajdusza» złapał już na miej-

scu pióro, w izbie gwar i głośne rozmowy, a tu kartki mu lecą i lecą pod stół z pod ręki. Potem, bywało, zbierze je i zasiędzie niedbale, a wszyscy słuchają i niejeden zazdrości w duszy. Postaci jego takie jakieś żywe, takie wypukłe, pod falą słów płynie myśl stukolorowa, jak wąż klejnotami świecąca. Gdy zacznie mówić o miłości, czujesz bicie ukochanego serca na swojem własnem, gdy wzbierze potęgą zapału, huczą słów grzmoty i myśl oślepiona błyskawicami drży przelękła, a kiedy w cichym spadku słów rzewne jakieś maluje uczucie, w powietrzu zda się woń mirtu i róży, paproć rozkwita w noc miesięczną, a gdzieś z za lasu, z za boru płynie po rosie echo piosenki dziewczyny.

Ha, miał talent! Odpadały od niego luźno piękne słowa i piękne myśli, nie mając zda się związku z nim samym. Były to kwiaty na bagnie. Jednocześnie objawy humoru, w których upadek moralny szedł w parze z bezwstydem, świadczyły o tem najlepiej.

— Ej, Augustynowicz, Augustynowicz! — mawiali mu wtedy koledzy — przy twoich zdolnościach, żeby tak dyabeł w tobie nie siedział, cobyś ty mógł zrobić, urwisie!

— Właśnie dlatego chcę go zatopić! Nie macie tam czego się napić? — odpowiadał.

Gustaw kilka tylko razy był na tych zebraniach; nie lubił Karwowskiego, po prostu dlatego, że go lubili wszyscy. Im trudniej mu szło

w życiu, im większe chmury zalegały horyzont jego miłości, tem stawał się drażliwszy, tem więcej gorzkniał. Namiętne a nieszczęsne przywiązania mają to do siebie, że wytwarzają równoległe namiętne nienawiści. Taka nienawiść nieześrodkowana jeszcze na kogoś lub na coś, zalegała piersi Gustawa i tliła się w nim jak zarzewie. Nienawidził wszystkich, którzy posiadali to, czego brak sam odczuwał. Czuł się niby pokrzywdzonym, a za wszelką krzywdę takie natury zwykły płacić choćby w teoryi tylko.

Odsunął się więc od towarzystwa młodzieży, choć jedynie tam były serca, które mogły dla niego uderzać. Wiedział o tem i, pomimo nienawiści dla wszystkich, kochał ich, jednak zamknął się sam w sobie.

Współczucie upokarzało go, wszędzie podejrzewał litość, a bał się jej.

Zresztą wiedziano tam o tem, że Szwarc obiecał mu nie chodzić do Heleny. Wiadomość ta nie wyszła z ust Szwarca, ale od niego; sam ją wygadał w chwili rozdrażnienia. Naturalnie Szwarca postawiło to wysoko w opinii kolegów, Gustaw gryzł się tem. Między nim a Szwarcem zalegała już ciemna chmura niechęci.

Wdowa z coraz większem naleganiem, coraz namiętniej upominała się u niego o Szwarca. W oczach Gustawa odbywał się w niej złowrogi dla niego proces. Potkański coraz więcej wcielał się w tę nową postać, rozpływał się i niknął

w niej. Powoli, a właśnie długim rodzialem wyegzaltowane serce Heleny coraz więcej upominało się o Szwarca, już dla niego samego. Nowa epoka zmartwychwstałego szczęścia dla niej, nowa epoka zamarłej dla Gustawa nadziei, zstępowała zwolna, popychana gburowatą ręką konieczności, zrodzona z łez, przypadku i bólu.

— Może, może niedługo będę spokojny! — myślał. — Niech się co chce dzieje, ja go raz drugi nie przyprowadzę.

Łatwo się każdy domyśli, co się ukrywa pod podobnego rodzaju refleksyą. Gustaw sądził, że potrafi zagłuszyć się pracą, był zmęczony coraz więcej; szczęśliwsze chwile miewał tylko we śnie.

Raz śniło mu się, że klęczał u kolan Heleny i całował jej ręce; czuł wyraźnie jej drogie dłonie na własnem sercu. Potem w sennem zwichrzeniu namiętności trafił ustami na jej usta... i prawie cierpiał z nadmiaru szczęścia...

Potem następowało przebudzenie.

Widywał ją codzień... był jej tak blizko... a zawsze tak z daleka.

Zmizerniał jeszcze i schudł; w oczach świeciły mu gorączkowe przebłyski niezłamanej woli. Ta gorączka wyczerpywała, ale trzymała go na nogach.

— Ciekawy jestem, co to będzie? — mruczał przez zapiekłe wargi.

Była jednak jedna strona, prawie wzniosła

w tem ponurem naprężeniu cierpienia. Gustaw nie marzył, brał życie jakie było, nie zaś jakie być mogło. Mimo opłakanego stanu zdrowia, umiał pracować i pracował więcej, niż kiedykolwiek. Żeby, przyszedłszy od wdowy, zasiąść do pracy, trzeba było nielada siły — takie zwycięstwa odnosił nad sobą codziennie. Zebrał około siebie kilka zdolniejszych głów, i jakby w przeciwstawieniu do zebrań Wasilkiewicza, utworzył kółko, pracujące wyłącznie naukowo. On i dwaj inni pisali gramatykę języków łotyckich... on, mimo ciągłych kłótni ze współpracownikami, stał na czele tej pracy, a co ukradł cierpieniu, to jej poświęcał. Helenę widywał codziennie.

---

## V.

Nic nie mogło być drażliwszego nad stosunek Szwarca do Gustawa.

Ci dwaj ludzie mieszkali razem.

Nareszcie pewnego dnia Gustaw, wróciwszy od wdowy, zastał rzeczy Szwarca popakowane, on sam zajęty był układaniem książek i bielizny.

Milczeli obaj, dopóki wszystko nie było gotowe; nakoniec Szwarc odezwał się:

— Gustawie, bądź zdrów! Wyprowadzam się. Gustaw podał mu rękę, nie rzekłszy ani słowa. Rozstali się zimno.

Po drodze spotkał Szwarca Wasilkiewicz.

— Ho, cóż-to? — pytał — przenosisz się?

Szwarc odrzekł:

— Znasz mój stosunek do Gustawa, osądź sam, czy mogę z nim dalej mieszkać?

— Ale to widzisz, nie wypadałoby opuszczać go w takim stanie, jak jest dzisiaj.

— Rozumiem, ale zaręczam ci, że ja tylko mogę go drażnić. Wiesz wszystko, co dla niego zrobiłem; nie powinienby mieć powodów niechęci... a jednak!...

Wasilkiewicz ścisnął mu rękę.

Mieszkanie Szwarca wynajęte było w dużym kilkopiętrowym domu. Składało go dwa pokoiki obszerne i widne. Prócz funduszów, przywiezionych z domu, Szwarc zaraz po przyjeździe znalazł sposoby, które dozwalały mu oszczędzać, ile możności, kapitału. Zaczął tedy przemyśliwać o przedniejszem urządzeniu się na przyszłość i wreszcie urządził się istotnie daleko wykwintniej. Na pierwsze wejrzenie można było w nowem mieszkaniu poznać zamożność i dostatek. Łóżko było codziennie porządnie zasłane, podłoga wymieciona, a w małym piecu kaflowym codzień szarą godziną palił się wesoły ogień; ciepło bywało, aż

się dusza radowała! Zresztą, cały dom był porządniejszy, ba, nawet elegancki. Na pierwszem piętrze mieszkał jakiś generał z żoną i dwiema córkami, brzydkiemi jak noce zimowe, na drugiem — Szwarc i francuz, inżynier, od którego wynajęte były pokoiki, a na trzeciem, jakiś podupadły hrabia, człowiek ongi, podobno, niezmiernie bogaty, dziś zbankrutowany, mieścił się w trzech czy czterech pokoikach z córką dorosłą i dwiema dziewkami ukraińskiemi. Takie było sąsiedztwo Szwarca. Dało mu się ono wkrótce we znaki, bo u inżyniera dzień cały jęczał fortepian, na którym dzieci uczyły się wygrywać wszystkie kontredanse, jakie kiedykolwiek gdzie tańczono; u generała były znów ciągłe zabawy, tańce i wieczory. Tupano tam, jak we młynie, po całych nocach służba uwijała się po schodach, hałasu i turkotu nie brakło. Jeden tylko hrabia zachowywał się cicho. Nic dziwnego, jako żydzi nad gruzami Jerozolimy, tak oni siedzieli tam na gruzach własnej wielkości rozpamiętywając ją smutno. Szwarc nie znał ich dotychczas prawie, czasem tylko szarą godziną po trzeszczeniu schodów i ciężkich krokach domyślał się, że stary hrabia prowadzi córkę na spacer; ale, nie lubiąc koron ani głów utytułowanych, nie był co prawda ciekawy wyjrzeć na nich.

Raz jednak zobaczył coś, co go więcej zainteresowało. Pewnego dnia, idąc do siebie, spostrzegł

między pierwszem a drugiem piętrem pochylony przez poręcz jakiś biuścik z główką wcale kształtną, o błękitnych oczach i ciemnych włosach. Oczy owe, przysłonięte ręką, pilnie upatrywały czegoś w półmroku sieni. Spostrzegłszy Szwarca, cofnęła się naprzód główka, za nią torsik, a kiedy Szwarc przyśpieszył kroku, chcąc bliżej spojrzeć na panienkę, zobaczył tylko dwie małe w czarnych trzewiczkach i białych pończoszkach nóżki. Nóżki owe uciekały co tchu na górę.

— Aha, więc to hrabianka! — pomyślał Szwarc.

Hrabianka zaintrygowała go jednak. Sam nie wiedział, dlaczego, szarą godziną siedząc przed ogniem, widział wyraźnie przed sobą ową parę nakrytych ręką oczu, białe czoło ujęte w pukle ciemnych włosów i nóżki w czarnych trzewikach.

W parę dni potem, kiedy późną godziną, zdmuchnąwszy świecę, kładł się w łóżko, usłyszał nagle jakiś głos, śpiewający smutną włoską piosenkę. W sieni i mieszkaniu Szwarca pełno było tych tonów młodych, dźwięcznych i sympatycznych; pieszczone a namiętne zaklęcia i wyrzuty rozlewały się z dziwnym urokiem w ciszy nocnej; słowa dochodziły wyraźnie, głos ten śpiewał:

E tu spietato, da un'altra amato
Dici è delirio, e non è amore

Piange mi vădi, ne a me tu credi
Or tu sei! tu sei barbaro che non hai cur etc.

— A, hrabianka śpiewa! — mruknął Szwarc.

Nazajutrz rano zupełnie znów nie wiedział, dlaczego przy ubieraniu się, trąc zawzięcie mydłem ręce, jakby dla dodania sobie energii, śpiewał wielce patetycznie:

Or tu sei! tu sei barbaro!

Ale wkrótce przestał o tem myśleć, zamiast hrabianki przyszła mu na myśl wdowa. «Ta kobieta albo już mnie kocha, albo kochałaby bardzo wkrótce» — pomyślał sobie. Żal mu się zrobiło owych chwil, w których patrzał jej w oczy... «Co za szczególna kobieta!» — dumał. «Jakże ją też musiał kochać ten Potkański... ha! a Gustaw». Szwarc zmarszczył się. «Gustaw, czy ja tam będę, czy nie, zagryzie się, zatruje — zgubi go ta miłość... hm! każdy odpowiada za siebie. Ale ciekawym, co też ona mówi, że mnie niema?»

Odtąd często przychodziła mu na myśl ta chwila, w której ona tak bardzo blada, z wyciągniętemi rękoma, wołała na niego: «Znalazłam cię, mój Kazimierzu!»

Gdyby tylko chciał, mógłby ją odszukać, kochać i być przez nią kochanym.

Ten plan prawdopodobnej miłości spać mu nie dawał. Jak każdy młody człowiek, czuł potrzebę kochania; serce uderzało mu gwałtownie, jakby chciało pęknąć rozsadzone własną siłą.

A dotychczas, prócz wdowy, nie znał żadnej kobiety. Przemykały mu przed oczyma czarne trzewiczki i białe pończoszki hrabianki, ale lekkie to marzenie obsuwało się w nicość. Tymczasem wspominał, jak pewnego razu w czasie rozmowy trzymał dłoń wdowy, pamiętał, jak miał ochotę pocałować tę rękę, ale pamiętał także, jak złowrogo świeciły naówczas oczy Gustawa. Ogarniała go zazdrość. Czasem ledwo dostrzeżona chmurka żalu zawczesnego przyrzeczenia przemykała mu się w duszy i skrywała gdzieś w najciemniejszych jej pieczarach. Wtedy powtarzał sobie wielce tragicznym tonem: «Przyrzekłem, nie pójdę!»

Jeszcze jedno gniewało go — ludziom szanownym a podżyłym wyda się to paradoksem — gniewał go spokój życia. Nauka przychodziła mu łatwo, trudności na drodze nie spotykał, nie zużywał sił wszystkich, i to budziło w nim niesmak. Młode a czynne natury, tak jak młodzi żołnierze, czują potrzebę wykąpać się w ogniu walki. Ta chęć walczenia, która w wieku późniejszym wydaje nam się nieprawdopodobną, w pewnych latach stanowi wcale poważnie jedną z konieczności ducha. Pamiętamy monolog Szwarca w mieszkaniu Gustawa, pierwszego zaraz dnia przyjazdu do Kijowa. Chciałby rzucić rękawicę, czy to w imię nauki, czy w imię uczucia, komu? — całemu światu. Młode orlęta probują latać, mając nad sobą obłok, pod sobą

otchłań. Najpospolitszy nawet człowiek, nim się spostrzeże, że jest żółwiem, ma chwile, w których zdaje mu się, że jest orlęciem.

W takiej fazie był Szwarc, a tu poprostu nie było z kim, ani o co iść na udry.

W uniwersytecie miał mniej więcej współwyznawców; pole mogło się otworzyć na szerokim świecie, ale tego szerokiego świata Szwarc nie znał jeszcze. Nagle jednak zaszło zdarzenie, które wyrwało go z odrętwiałości.

Augustynowicz przeskrobał coś w ten sposób, że to czyniło ujmę honorowi studentów.

Postanowiono go wypędzić.

Nie było to już pierwszy raz, ale zawsze jakoś sami studenci zacierali to między sobą, nie chcąc kompromitować się wobec opinii — teraz przebrała się miarka. Nie będziemy czytelnika zapoznawali z rodzajem winy, co nam po brudach! dość, że sąd, złożony ze studentów, stanowczo był za wydaleniem winnego ze swego grona. Od takiego wyroku nie można było apelować, bo władza uniwersytecka potwierdzała go zawsze — tak więc rozmazywało się tylko przewinienie.

Wzburzenie między studentami było wielkie; nikt nie ujmował się za Augustynowiczem, prócz Szwarca, który, trzęsąc połową uniwersytetu, użył wszystkich sił, by go uratować.

— Chcecie go wypędzić? — mówił na wielce burzliwem zgromadzeniu. — Chcecie go wypę-

dzić? ale czy myślicie, że, wyszedłszy z uniwersytetu, nie będzie nam robił wstydu? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? Jaki znajdzie sposób do życia? z czego się utrzyma? A co do niego samego, czy wiecie dlaczego upadł? — Nie! Spytajcie go, kiedy jadł obiad? Jesteśmy między swojemi. Podnieście mu którąkolwiek nogę — prawą czy lewą — wszystko jedno: jeśli pod butami znajdziecie choć jedną całą podeszwę, to go wypędzicie. Co do mnie, twierdzę i niech piorun tego trzaśnie, co twierdzi inaczej, co ratować nie gubić powinniśmy się. Dajcie mu ratunek, dajcie na chleb, weźmy na własną odpowiedzialność!

— Kto go bierze na własną odpowiedzialność? — spytał któryś z antagonistów Szwarca.

— Ja! — krzyknął grzmiącym głosem Szwarc i cisnął czapkę na ziemię.

W izbie powstał gwar i zamieszanie. Szwarca poparł całym wpływem Wasilkiewicz, inni się upierali za wydaleniem — zrobił się »huczek niemały«. Szwarc wskoczył na ławkę i, zwracając się do Augustynowicza krzyknął:

— Przebaczają ci! Zabieraj się i chodź ze mną!

Wyszedłszy zatarł ręce z wewnętrznej radości i zawołał:

— Szkoda było takiej głowy! Prócz tego zjedzą dyabła, jeżeli coś teraz zrobią beze mnie!

— Szwarc! dlaczego mnie ratowałeś? — pytał Augustynowicz.

Szwarc zwrócił ku niemu twarz surową.

— Dziś jeszcze sprowadzisz się do mnie.

Inny tymczasem dramat rozgrywał się w mieszkaniu Potkańskiej. Była to szczególniejsza kobieta; nie mogła, nie umiała żyć, nie uczepiwszy życia o jakieś uczucie. Pierwszy raz trafiła szczęśliwie, więc była wzorem matki i żony. W obecnej chwili zdawało jej się, że znalazła ratunek w Szwarcu, a tu miesiące płynęły jak go nie widziała. Coraz usilniej pragnęła go, coraz usilniej opierał się temu Gustaw.

Musiało nastąpić ostateczne starcie tych wprost przeciwnych usiłowań.

— Jeśli mi go nie wrócisz — mówiła pewnego wieczoru, łzami zalana wdowa — to ja sama pójdę go szukać. Jam gotowa klęknąć przed tobą i na kolanach prosić ciebie o niego. Gustawie, mówisz, że Kazimierz prosił ciebie, byś miał opiekę nademną... więc zaklinam ciebie na imię jego... O Boże, Boże!... Ty nie rozumiesz, że można cierpieć... Tyś chyba nigdy nie kochał!

— Ja, pani?... nigdy?... — mówił bardzo cicho Gustaw, a w oczach błyszczała mu boleść prawdziwa. Może ty, pani, prawdę mówisz... Więc tyś nic nie dostrzegła? niceś nie widziała? Ja sam niewiem, czym kogo kochał.. prócz... Boże, co ja wyrzeknę!... prócz ciebie jednej!

Rzucił się do nóg Heleny.

Nastała wielka cichość. Rzekłbyś dwoje ludzi skamieniało. Ona przegięta w tył, z rękoma na twarzy on u nóg jej.

Trwali tak: oboje doszli do zapamiętania, ale największy ból ma chwilę, w której się przesila.

Wkrótce on powstał. Był już zimny, był spokojny bardzo. Zbudził ją i począł mówić cichym przerywanym brakiem oddechu głosem:

— Przebacz mi, Heleno! Nie powinienem był tego robić! ale bo widzisz, cierpiałem od tak dawna. Pierwszy raz... rok trzeci idzie, widziałem cię w kościele... ksiądz właśnie kielich podnosił, a ty się schyliłaś... Bywałem jeszcze wówczas w kościele!... potem widywałem cię częściej, i daruj!... ja sam nie wiem, jak się to stało! Potem zostałaś jego żoną — milczałem... I teraz nie chciałem ciebie obrazić, ani ci dokuczyć, ale powiedziałaś, żem chyba nigdy nie kochał... Widzisz, że to nieprawda... Tak trudno wyrzec się ostatniej nadziei... Przebacz mi... Szwarc jeszcze dziś przyjdzie do ciebie... to szlachetny człowiek — kochaj go i bądz szczęśliwa... i bądź zdrowa.

Pochylił się ku niej i podniósłszy brzeżek jej sukni, z błyszczącemi oczyma, utkwionemi w niebo, ucałował go jakby świętość.

Za chwilę wdowa pozostała sama.

— Co on mówił? — szeptała cicho — co

mówił Gustaw?... Mówił, pamiętam, że on przyjdzie znów do mnie. Czy ja nie marzę?... Ale nie... On przyjdzie.

## VI.

Tymczasem Augustynowicz zakwaterował się na dobre u Szwarca. Co za różnica jego dawniejszego życia z teraźniejszem! Dawniej nie miał ciepłego kąta — Szwarc dał mu ciepły kąt; nie miał łóżka — Szwarc kupił mu łóżko; brakło mu pościeli — Szwarc kupił pościel; nie miał odzienia — Szwarc zaopatrzył go w odzienie; nie jadał — Szwarc dzielił z nim obiady. Znalazł się w zupełnie innych warunkach. Ogrzany, nakarmiony, w porządnym surducie, uczesany, umyty, ogolony, stał się zupełnie innym człowiekiem. Był to, jak mówiliśmy, niesłychanie słaby charakter; zawsze stwarzały go warunki życia, zawsze był tylko wypadkową tych czynników. To też pod surową ręką Szwarca zmienił się do niepoznania, zaczął smakować w życiu pożądnem a dostatniem. Jak dawniej nie wstydził się niczego, tak teraz zaczął się wstydzić wszystkiego, co nie pasowało z eleganckim ubiorem i rękawiczkami. Najtrudniej mu było odzwyczaić się od picia, ale nie miał zręczności zapadać w dawny nałóg, bo Szwarc pilnował go, jak oka w głowie, nie spuszczał

go z oczu, natomiast kupował mu wódkę, ale nie dawał mu pieniędzy. Z jaką niecierpliwością oczekiwał Augustynowicz chwili, w której Szwarc otwierał szafę dla nalania mu kieliszka, trudno sobie wystawić. Ileż namarzył się w tej chwili, jak sobie wystawiał smak napoju, wprowadzenie go do ust, dotknięcie językiem, popchnięcie do gardła i wreszcie uroczyste wejście do żołądka! Zresztą Szwarc, by odebrać tym poczęstunkom upokarzający charakter, zwykle sam pił do niego.

Z biegiem czasu zaczął go lepiej traktować, zaczął go wcielać w rozliczne swoje i uniwersyteckie sprawy i wreszcie swój sposób myślenia. Niema potrzeby mówić, że Augustynowicz przyswajał sobie to wszystko, jako swoją własność, że słowa Szwarca powtarzał, gdzie mógł, dodając zwykle z początku, »Ja sądzę, że« itd. Ktoby go poznał? On, dla którego nie było nic nadto bezwstydnego, teraz na zebraniach młodzieży, kiedy rozmowa brała trochę za wesoły kierunek, mawiał: »Panowie, tylko przyzwoitość przedewszystkiem!« Smieli się studenci, śmiał się sam Szwarc pocichu, ale dotychczas kontent był z własnego dzieła.

Nie potrzebujemy dodawać, że, chodząc z Augustynowiczem na jeden fakultet, uczył się z nim razem wieczorami. Wtedy miał sposobność ocenić w całej pełni jego zdolności; dla tego umysłu nie było rzeczy trudniejszych i łatwiejszych;

jakaś szalona intuicya zastępowała tam rozmysł, pamięć nie tyle trwała, ile obszerna, zastępowała pracę.

Częstym gościem Szwarca i Augustynowicza bywał Wasilkiewicz. Początkowo przychodził z Karwowskim, potem i sam bywał codziennie o swojej godzinie. Rozmowy jego ze Szwarcem, krążące koło najważniejszych pytań nauki i życia, stawały się coraz poufalsze. Ci dwaj ludzie przeczuli się i jeden odgadywał w drugim potężny umysł i wolę. Stosunek, oparty na wzajemnym szacunku, zdawał się stałą zapowiadać przyszłość. Jeden i drugi pochwycili w ręce kierunek młodzieży uniwersyteckiej; inicyatywa ogólnych czynów wychodziła tylko od nich, a że byli zgodni, zgodnie się też działo w uniwersytecie, koleżeństwo i nauka najwięcej na tem wygrywały.

— Powiedz mi też — pytał pewnego razu Szwarc — co mówią o mojem postępowaniu z Augustynowiczem?

— Jedni cię uwielbiają, — odrzekł Wasilkiewicz — drudzy śmieją się. Byłem u jednego z twoich antagonistów w interesie naszej biblioteki; zastałem tam niemałe grono i mówiono właśnie o Augustynowiczu i o tobie... Ale, ale! czy wiesz, kto cię najwięcej bronił?

— No kto?

— Zgadnij?

— Lolo Karwowski.

— Nie.

— Dalibóg, nie domyślam się.

— Gustaw.

— Gustaw?

— Aa! nagadał tam tym, co się wyśmiewali z ciebie tyle przyjemnych rzeczy, że zaręczam ci, iż nie prędko zapomną. Wiesz, jak on to umie! Myślałem, że ich licho porwie.

— Tegobym się nie spodziewał!

— Ale bo go już dawno nie widziałeś... Ech! on też zagrzązł w tę nieszczęsną miłość po uszy. A to tęgi chłopiec... i żal mi go. Powiedz, ty się na tem znasz lepiej, bardzo on chory?

— O, nie dobrze z nim!

— Cóż to? Astma?

Szwarc kiwnął ręką.

— Astma... nadmierna praca... zgryzoty...

— Szkoda!

Nagle czyjeś kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi się otworzyły — wszedł Gustaw.

Był zmieniony do niepoznania. Skóra na jego twarzy wybielała dziwnie, stała się przeźroczystą. Z tej twarzy wiało jakieś zimno, jakby od trupa; żółtawy odcień świtał mu z czoła, które zdawało się być woskowem. Wargi miał białego koloru; zarósł, ciemne włosy, broda i wąsy rysowały się przy owej bladości prawie czarno. Wyglądał, jak człowiek, który przebył długą chorobę, a na twarzy osiadła mu pewność siebie i rozpaczliwa jakaś rezygnacya.

Szwarc trochę zdziwiony, trochę zmięszany, nie wiedział od czego zacząć. Gustaw wyprowadził go z kłopotu.

— Szwarc! — mówił Gustaw — przychodzę do ciebie z prośbą. Niegdyś przyrzekłeś mi nie widywać Potkańskiej, cofnij to przyrzeczenie.

Szwarc wykrzywił twarz rodzajem przymusu. Nie w smak mu była rozmowa w tej materyi; więc odpowiedział tylko:

— Nie zwykłem nie dotrzymywać słowa.

— Tak — odrzekł spokojnie Gustaw, — ale tu jest zupełnie co innego. Gdybym umarł np., przyrzeczenie nie obowiązywałoby ciebie, a ja, widzisz, jestem chory, bardzo mocno chory. Ona tymczasem potrzebuje opieki. Ja już nie mogę... nie mogę czuwać nad nią. Trzeba mi się położyć... odpocząć... jestem bo i zmęczony trochę. Zresztą, powiem ci całą prawdę: Ona ciebie kocha, a ty ją pewno także; ja stałem wam na zawadzie, ale teraz się usuwam. Z musu to robię i nie sprzedaję tego za poświęcenie... Kochałem ją bardzo i miałem trochę nadziei, że i ona będzie mnie kiedyś kochała... ale zbłądziłem (tu głos jego spadł o oktawę niżej). Nikt mnie nigdy nie kochał... Było mi bardzo smutno w życiu... Ale cóż robić? W ostatnich czasach dużo przeszedłem, ale to się już skończyło! Dziś chodzi mi oto, żeby ona nie została sama. Gdybym się był umiał zdobyć na poświęcenie, byłbyś

już dziś jej opiekunem... Szwarc! możesz to dla mnie zrobić... Ty masz energię i jesteś bogaty... i ona cię kocha, więc ty nie zakończysz tak, jak ja. O, mnie źle było na świecie... Ale mniejsza o to. Nie chciałbym jej wyrządzić krzywdy... Kocham ją jeszcze. Nie chciałbym, by przeze mnie pozostała sama na świecie. Czasem, widzisz nie powinno się ludziom niczego odmawiać... Idź, idź do niej! Mieszkaliśmy jednak razem... klepali jedną biedę, więc powinieneś to dla mnie zrobić; bo ja, powtarzam, jestem chory i nie wiem, czy ją lub ciebie więcej zobaczę.

Wasilkiewiczowi łza zakręciła się w oku, powstał, i zwróciwszy się do Szwarca, rzekł:

— Szwarc, powinieneś uczynić wszystko, o co cię Gustaw prosi.

Szwarc odrzekł stanowczo:

— Będę u niej, dam jej opiekę. Daję na to słowo uczciwości wam obu.

— Dziękuję! — rzekł Gustaw. — Idź tam teraz.

Za chwilę pozostał sam na sam z Wasilkiewiczem.

Litwin przez czas jakiś stał milczący, pasował się z własnem sercem; wreszcie odezwał się głosem serdecznego współczucia.

— Gustawie, biedny Gustawie, jak ty tam musisz cierpieć w tej chwili!

Gustaw nic nie odrzekł, wciągnął z sykiem

powietrze w usta, zacisnął zęby, twarz zadrgała mu konwulsyjnie i nagłe łkanie rozerwało mu piersi... siły opuściły go zupełnie.

* * *

W trzy dni potem Szwarc z Wasilkiewiczem siedzieli w mieszkaniu Gustawa. Wieczór był jasny; snopy księżycowego światła wpadały przez szyby do izby. Przy łożu chorego paliła się świeca. Chory był jeszcze przytomny. Piękna była niemal jego głowa, wyżółkła z nędzy o wysokiem czole, leżąca na wyniosłych poduszkach. Jedna wychudzona ręka spoczywała na kołdrze, drugą przyciskał sobie piersi.

Światło świecy rzucało różowy blask na tego męczennika własnych uczuć. Przeciwległy kąt izby mroczył się cieniem. Gustaw był przytomny, zdawał Szwarcowi rachunki z opieki nad Potkańską. Od czasu do czasu odzywał się jeszcze, choć z trudnością, to do Szwarca, to do Wasilkiewicza, który stojąc w głowach łóżka, ocierał chustką gruby pot, występujący mu na czoło.

— Chciałem cię ostrzedz — mówił Gustaw.— Przysyłają jej dwa tysiące złotych rocznie, a tam trzeba pięć do sześciu... Resztę ja zarabiałem... Odsuńcie świecę i zwilżcie mi usta... pracowałem... odejmowałem sobie od ust, nie dosypiałem... Po dwa dni czasem nic w ustach nie miewałem... Podnieście mnie trochę i oprzejcie wyżej... Nie mogę mówić... Jest tam jeszcze

dla niej trzydzieści rubli w tej skrzynce... Ciemno mi... Niech odpocznę...

Cicho było w izbie; tylko mysz w drugim kącie szeleściła kawałkiem papieru... Śmierć zstępowała.

— Chciałbym skończyć naszą pracę — mówił dalej Gustaw. — Powiedzcie im, niech się nie kłócą... Zimno mnie ogarnia... Ciekawym czy też jest jakie niebo lub piekło!... Nie modliłem się nigdy... ale, ale...

Wasilkiewicz pochylił się ku niemu i spytał cicho:

— Gustawie, ty wierzysz w nieśmiertelność?

Chory już nie mógł mówić, kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Wtedy zdawało się, że w izbie rozległy się ciche tony czarownej muzyki. Po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios rój aniołów; pełno ich było: jedne białe, drugie miały skrzydła złote lub kolorowe. Chodziły cicho, pochylały się nad łożem, trącały skrzydełkami, kręciły się jako pszczółki brzęczące... Słychać było szelest ich piór.

Razem z tą cichą kapelą uleciał duch Gustawa.

Pogrzeb odbywał się z wielką uroczystością. Cały skład uniwersytetu asystował przy trumnie. Wtedy dopiero zaczęto mówić o gruntownej nauce, pracy i poświęceniach zmarłego. Rzeczywiście, pokazało się z rachunków, które rozej-

rzał Szwarc, że nieboszczyk zarabiał około czterech tysięcy złotych rocznie. To wszystko szło na wdowę, sam żył jak pies. To dobrowolne a ciche bohaterstwo długą mu zjednało pamiątkę w sercach młodzieży. Poodkrywano przytem rozmaite prace zmarłego, odznaczające się gruntowną nauką, a nawet i talentem; znalazł się także jego pamiętnik. Było to wypowiedzenie w prostych, a nawet szorstkich słowach, wszystkich ciemnych stron życia w nędzy, rodzaj apologii namiętnych porywów młodości, tych cierpień urojonych, a jednak rzeczywistych, walk, bólów, burz wewnętrznych i rozhoworów. Życie wewnętrzne egzaltowanych natur odsłoniło się tam w całej ponurej uroczystości. Strach było spojrzeć w ten zamęt, którego nie znać w codziennem życiu, na tym «tak dyabelsko wyzłoconym świecie», jak mówi poetka. Pamiętnik czytano u Wasilkiewicza; była nawet myśl drukowania go, ale to jakoś nie przyszło do skutku. Augustynowicz za to napisał wspomnienie pośmiertne o Gustawie. Bardzo wymownie przedstawił jego życie. Pokazał go od lat dziecinnych, kiedy to bywał jeszcze szczęśliwy. Urok opisu tych wiosennych chwil życia był tak wielki, iż zdawało się, że majowe słońce przyświecało piszącemu. Potem obraz spochmurniał: widać było, jak nieboszczyk porzucił rodzinną chatę, jak pies, stary sługa, biegł za nim, wyjąc... Potem było jeszcze ciemniej: życie za-

częło nim potrącać, rzucać, kołysać i targać. Znów błysnął płomień... Niby na obłoku w obrączce tęczowej pojawiła mu się wdowa... wyciągnął ręce do tego światła. «Resztę wiecie — pisał Augustynowicz. — Niech teraz śpi, śniąc o niej. Skowronek polny będzie mu śpiewał nad mogiłą jej imię... Niech śpi spokojnie... Ogień zagasły, czara rozbita — oto Gustaw!»

Ale zwykle tak się dzieje, że dużo gadają po śmierci o człowieku, którego za życia ledwie że nie popychano. Damy więc pokój Gustawowi, a będziemy śledzili dalsze losy naszych znajomych, a w szczególności bohatera niniejszej księgi, Szwarca.

U Szwarca nic się nie zmieniło, tylko on sam, od czasu pierwszej bytności u wdowy, chodził jakiś zamyślony i milczący. Augustynowicz coraz więcej przyzwyczajał się do nowego położenia. U generała tupano, jak dawniej; u inżyniera bębniono w fortepian, jak dawniej; hrabianka wyśpiewywała wieczorami, jak dawniej. Mieszkanie Gustawa zajął szewc z dwojgiem skrofulicznych dzieci, z żoną i z biedą trzecią; tam, gdzie krążyły myśli tej szlachetnej głowy i padały gorące słowa, teraz skrzypiały dratwy i pociągle. Potkańska nie dowiedziała się nawet zrazu o śmierci Gustawa; Szwarc to utaił, obawiając się zbyt silnego na nią wrażenia. Później ze zdziwieniem przekonał się, że wieść tę przyjęła wprawdzie ze smutkiem, ale bez rozpaczy.

Dużo mamy do opowiadania o tych nowych stosunkach; w następnym tedy rozdziale wprost już do nich przejdziemy.

## VII.

Szwarc wedle przyrzeczenia danego Gustawowi, był u Heleny i za drugą już u niej bytnością wyszedł rozkochany. Wracał późną nocą; na niebie skrzyły się gwiazdy: była pogoda; od Dniepru dolatywał chłodny, ale rzeźwy powiew wody. Lekkie opary mgły wiły się długiem pasmem na wschodzie. Muzyka była w powietrzu i muzyka w piersi Szwarca. Kochał! Zdawało mu się, iż noc jasna obchodzi jego zaślubiny ze szczęściem. Pełne szczęście jest razem wspomnieniem i nadzieją. Szwarc czuł jeszcze w dłoniach drobne ręce Heleny — tę chwilę wspominał, myślał o jutrzejszych pieszczotach — tej chwili spodziewał się. Dziwna rzecz! Ona go pożegnała słowem: »Pamiętaj!« a któżby mógł zapomnieć o szczęściu, zwłaszcza kiedy się do niego przyszłość uśmiecha.

Kochał! Uciśnięty siłą i urokiem nocy, drżeniem gwiazd i majestatem ciemnych przestrzeni, rzucił wzrok pełny ognia w najdalsze krańce niebieskich samotni i drżącemi usty wyszeptał:

— Jeśliś jest, to jesteś wielki i dobry!

Mimo warunku postawionego przed tym wy-

krzyknikiem, jak na Szwarca było to bardzo wiele. Przyznawał wielkość i dobroć. Mówił »jeśliś jest«, słowa te o kimś byłyby warunkiem, do kogoś — znaczyły potwierdzenie istnienia.

Szwarc mówił: »Jesteś«.

Mimo całego jego realizmu, nie dziwmy się tak bardzo tym słowom. Usta, które je wymawiały, świeżo piły z czary uniesienia.

Gdy Szwarc wrócił do domu, Augustynowicz spał w najlepsze; chrapanie jego słychać było już na schodach. Wyciągał piosenkę snu, to krótko, to długo, to ciszej, to głośniej, to sapiąc, to dmuchając, to gwiżdżąc.

Szwarc zbudził go.

Postanowił koniecznie go uściskać.

Augustynowicz wytrzeszczył nań zdziwione oczy i w pierwszej chwili zawołał:

— Idź-że do...

Szwarc roześmiał się wesoło.

— Dobranoc! — rzekł mu Augustynowcz — powiem ci jutro, skąd wracasz, dziś spać mi się chce, dobranoc.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem Szwarc nalewał herbatę, Augustynowicz leżał jeszcze na łóżku i, patrząc w sufit, palił fajkę. Obaj myśleli o dniu wczorajszym.

Wreszcie Augustynowicz odezwał się pierwszy:

— Wiesz, Szwarc, co mi przyszło do głowy?

— Nie wiem.

— To ci powiem: że nie warto życia wiązać z pierwszą lepszą kobietą, jak Jowiszowi dobrze życzę, nie warto! Są jednak rzeczy lepsze na świecie.

— Skądże ci te myśli?

— Prosto z fajki. Człowiek tak się zwiąże, tak się zrośnie z jedną myślą, a potem przyjdzie lada przeszkoda i ot, z tych pałaców tyle się zostanie, co z tego dymu, który puszczam w tej chwili.

Ogromny kłąb dymu podniósł się w górę z ust Augustynowicza i, uderzywszy o pułap, rozproszył się na wszystkie strony.

Rozmowa urwała się na chwilę.

— Szwarc, czyś ty się już kochał przed poznaniem Gustawa i Potkańskiej?

— Czym się k-o-o-chał? — ciągnął Szwarc, przypatrując się pod światło szklance. — Co?... a, czym się kochał?... Tak, zawracałem sobie czasem głowę, nie wytrącało mnie to jednak ze zwykłych warunków życia, nie odwodziło od porządku dziennego. Powiem otwarcie, nie kochałem się.

Augustynowicz podniósł cybuch z fajką w górę i uroczyście zadeklamował:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!

Szwarc się uśmiechnął:

— Alboż co?

— Nic, to moje wspomnienia. E, ze mną bywało inaczej, szalałem parę razy jak waryat. Raz nawet, mimo biedy, próbowałem być porządnym człowiekiem, trudno było, ale próbowałem.

— A skończyło się?

— Prozaicznie. Dawałem lekcye u jednego właściciela domu. Było tam dwoje dzieci: małoletni syn i dorosła córka; syna uczyłem, a córkę kochałem. Otóż pewnego wieczoru łzy mi stanęły w oczach i powiedziałem jej to, ona zmieszała się trochę, a potem się roześmiała. Nie uwierzysz Szwarc, co to był za brzydki śmiech! bo widziała, ile to mnie kosztuje, a sama mnie ciągnęła poprzednio. Nakoniec poszła do mamy na skargę.

— A mama?

— Mama powiedziała mi: po pierwsze, żem szubrawiec, na co jej się ukłoniłem: po drugie, żebym sobie poszedł; a po trzecie, cisnęła mi na ziemię pięć rubli, które podniosłem, bo mi się należały i upiłem się za nie tego dnia wieczorem i na drugi dzień rano.

— A potem?

— Potem drugiego dnia wieczór i na trzeci rano.

— I tak już ciągle?

— Nie. Czwartego dnia wypłakałem się ogromnie, a jeszcze potem, gdym się już trochę uleczył — to jest z miłości, nie z pijaństwa —

próbowałem się zakochać w pierwszej lepszej, ale już nie mogłem, daję ci na to słowo uczciwości, mój panie!

— I nie masz już nadziei na przyszłość?

Augustynowicz zamyślił się trochę i odpowiedział:

— Nie. Nie szanuję już kobiet. Ile dawniej wierzyłem w nie, ilem je czcił i kochał, jako największą nagrodę pracy i mozołów, tyle dziś... lubię je... rozumiesz? To wyłącza miłość.

— Ale i szczęście,

— Ani słowa: przeto dziś gwiżdżę, kiedy mi się chce płakać i dlatego zazdroszczę ci.

Szwarc spojrzał bystro na Augustynowicza.

— Czego?

— Twego stosunku z Heleną. Nie marszcz się i nie dziw, że ja te rzeczy znam tak dobrze... Ho, ho! mamy my trochę doświadczenia! Zresztą, powiem ci, ja sam chciałem się zakochać w Potkańskiej... Ja wolę takie kobiety niż inne... Choć z drugiej strony... E, kiedy nie wiem, czy się nie będziesz gniewał?

— Mów.

— Bałem się zakochać w Potkańskiej. Ani słowa: nieszczęśliwa kobieta, ale na brodę proroka, cóż mnie to obchodzi? Wiem tylko, że testamentem przechodzi z rąk do rąk, że kto tylko zbliży się do niej, zaraz otrzymuje wiekuistą szczęśliwość... brr! na honor, nie chciał-

bym być testatorem takiego stypendyum, choćby dla przyjaciela.

Szwarc postawił na stole szklankę niedopitej herbaty i, zwróciwszy się do Augustynowicza, rzekł zimno:

— Tak, ale ponieważ ja jestem egzekutorem testamentu, bądź łaskaw mówić o zapisie z większym szacunkiem.

— Dobrze, powiem ci zupełnie seryo już nie o tem, kim lub czem jest Potkańska, ale co ty powinieneś zrobić. Mówię bez interesu, nawet na szkodę własną. Rzecz jest taka — Augustynowicz usiadł na łóżku. — Znam ciebie, znam ją, ona ci sama rzuca się w ramiona. Inicyatywa ze strony kobiety... ho! to się na nic nie zdało! Miłość to trzeba zdobyć. Za miesiąc znudzisz się, zmęczysz i ciśniesz ją do dyabła... Szwarc! ja ci dobrze życzę, żeń ty się z Heleną, póki czas...

Szwarc zmarszczył brwi więcej niż poprzednio i odrzekł krótko:

— Zrobię, jak uznam za stosowne.

A rzeczywiście to małe słówko »ożenić się« nie przyszło mu jeszcze do głowy. Całując ręce Potkańskiej, nie pomyślał o konsekwencyi pocałunków. Gniewał się na siebie i na to szczególniej, że ktoś przypominał mu obowiązki sumienia. Dzień, dwa, później niezawodnie samby sobie przypomniał. Upominanie z cudzej strony odbierało tej myśli urok samodzielnego, płynącego z miłości, czynu, robiło ją przymusem.

Wieczorem tegoż dnia Augustynowicz spotkał Wasilkiewicza.

— Wiesz, że Szwarc bywa już u Potkańskiej?

— Cóż tedy?

— Kobieta rozkochana w nim szalenie. Domyśl się, co z tego wyniknie, i osądź, co Szwarc powinien zrobić?

Wasilkiewicz odparł ze zwykłą rezolutnością:

— Kochać ją także.

— Tak, a dalej?

— Dalej niech sobie sami radzą.

Augustynowicz machnął ręką niecierpliwie.

— Jeszcze jedno pytanie: jakbyś ty skończył z Potkańską?

— Gdybym ją kochał?

— Tak.

— Ożeniłbyn się bez namysłu.

Augustynowicz zatrzymał go i z ręką na sercu, począł mówić tonem głębokiego przekonania:

— Widzisz, ja Szwarcowi wiele jestem winien, a zresztą sam to wiesz najlepiej, chciałbym tedy szczerze odpłacić mu się — tak, odpłacić radą. On jest w dziwacznem położeniu... a jednak, rozumiesz, są pewne prawa uczciwości, których nie można łamać. Nie chciałbym, aby ktoś kiedyś Szwarcowi mógł powiedzieć: »Postąpiłeś nieuczciwie«. Mówię otwarcie: nie chciałbym, a ty możesz tu dużo zrobić, ty masz wpływ na niego.

Lecz Wasilkiewicz zamiast dać się przekonać, rozgniewał się.

— A ty co się w nieswoje rzeczy wtrącasz? Zostawić mu wolę, toż niedawno, jak u niej bywa. Ej, Augustynowicz, albo ty to z serca robisz? Jeśli ciebie Helena co obchodzi, to niech mnie... ale to twoje wścibstwo, ty lubisz pozować i prawić piękne słówka. Nie graj komedyi! Poświęcasz się niby, tracąc mieszkanie przez ożenienie Szwarca, ale to tylko lekkomyślność. Ty sam już nie wiesz, kiedy się oszukujesz! O Szwarca się nie bój, żebyś ty był taki, nie trzebaby więcej. Co tobie do tego! Ty za grosz nie masz taktu.

— Schowaj te nauki dla siebie. Więc nie wdajesz się między nich?

— Gdyby ten nieokreślony stosunek trwać miał długo, ja pierwszy będę się starał namówić, a nareszcie zmusić Szwarca do ożenienia się z nią; ale dziś wtrącać się między nich — to głupstwo.

Augustynowicz wrócił wielce skonfundowany; poczucie prawdy jednak powiedziało mu, że litwin ma racyę i że z jego strony było to istotnie wścibstwo i chęć pozowania, nic więcej.

## VIII.

Ale upłynęło parę miesięcy, skończyła się zima, przeszła wiosna, nastało lato, a owe stosunki nie zmieniły się. Kochał Szwarc Helenę, ona jego i płynęło im życie we wzajemnej na przyszłość niepamięci. Był jednak cień między niemi, cień rzucony przez wypadek. Pewnego dnia letniego Potkańska zawiązała pod brodę wstążki niebieskiego kapelusika i, okrywszy ramiona płaszczykiem, uczepiła się ręki Szwarca — poszli oboje na spacer.

Słońce świeciło, było trochę kurzu w powietrzu, a upał dawał się czuć na wszystkich twarzach, choć było koło szóstej po południu. Mnóstwo osób wychodziło na miasto, wielu znajomych Szwarca witało go przyjaznem skinieniem głowy, niektórzy, a nawet i obcy oglądali się za naszą parą. Rzeczywiście, piękna to była para. Szwarc wyrósł, zmężniał; brodę i boki twarzy okrywał już wspaniały rudawy zarost, a twarz sama nosiła wyraz poważny z pewnym odcieniem dumy. Potkańska wyglądała zupełnie na młodą narzeczonę; wiatr rozwiewał niebieskie wstążki jej kapelusika, bawił się z białą suknią i, unosząc okrycie, ukazywał wysmukłą jej figurkę. Z wdziękiem oparta o ramię Szwarca, cieszyła się i nim i słońcem, i powietrzem, jakoby drugi raz na świat zrodzona. Szwarc wię-

cej na nią patrzał, niż na otaczających. Nie podejmujemy się powtarzać ich rozmowy, owego szczebiotu zakochanych, bez znaczenia dla innych, pełnego wdzięku dla nich. Były jednak i poważniejsze rozmowy. Potkańska, naprzykład, prosiła Szwarca, żeby ją zaprowadził na grób męża.

— Latem, widzisz, — mówiła — i na cmentarzu mnóstwo cienia, a nie byłam tak dawno; nie mogę go jednak zapomnieć. Ty mi go zastępujesz, Józefie, ale pozwól mi się i za niego pomodlić czasem.

Szwarcowi było wszystko jedno dlaczego i za kogo się Helena modliła; odrzekł więc z uśmiechem pełnym pobłażania:

— Dobrze, Heleno, pamiętaj o swoich zmarłych, tylko kochaj żywych — dodał, pochylając głowę ku jej twarzy.

Lekkie przyciśnięcie do piersi ramienia Szwarca było odpowiedzią ze strony Heleny.

Spojrzała mu w oczy, potem zarumieniła się, jak dziewczynka.

Szwarc ze swej strony nakrył dłonią, maleńką, wspierającą się na jego ramieniu rękę i... był zupełnie szczęśliwy.

Poszli na cmentarz. Po drodze spotkali Augustynowicza; szedł, paląc cygaro obok dwóch dam, z których jedna była matką, druga córką. Augustynowicz prowadził córkę pod rękę; matka podążała z boku trochę; przeszkadzała jej oty-

łość, trochę pośpiech, a nakoniec i gorąco. Augustynowicz widocznie był wymowny, bo panna zatrzymywała się chwilami od śmiechu. Przechodząc koło Szwarca, przymrużył jedno oko, co miało znaczyć, że w tej chwili kontent jest ze świata i porządku ziemskiego.

Szwarc pytał Heleny o Augustynowicza.

— Znam go, choć nie wiem, jak się nazywa; gdy zmarł Kazimierz, widywałam go blizko siebie, potem jakoś mi znikł z oczu.

— Jest to najzdolniejszy urwis, jakiego znam — dorzucił Szwarc. — Ale, mówił mi, że kochał się w mojej pani.

— A ty dlaczego mi to mówisz?

— Bez celu; dziwna rzecz jednak, jak wszyscy lgną do ciebie.

— Bo też mój drogi Józefie, to jedno przyniosłam z sobą na świat. Nie uwierzysz, jak smutno płynęły mi lata dzieciństwa. Nie znasz mojej historyi? Chowałam się w domu zamożnym... gdzie pan domu opiekował się mną, jak własnem dzieckiem... Po jego śmierci dokuczano mi tam wszelkiemi niegrzecznościami, aż nakoniec uciekłam stamtąd i wyjechałam do Kijowa, gdzie jeden bardzo stary i bardzo dobry człowiek wziął mnie w opiekę, mówił mi zawsze Helusiu i pieścił jak córkę rodzoną. Ale potem i on umarł, nie zostawiwszy mi sposobu do życia... Potem poznałam Kazimierza. Zdziwisz się, skąd ja mogłam bywać w klubach studenckich?

Wierz mi, o mało nie umarłam ze wstydu, kiedym tam pierwszy raz weszła; ale czy uwierzysz? Byłam wtedy głodna, parę dni nic już w ustach nie miałam — byłam zziębnięta. Sama nie wiedziałam co robię i do czego to prowadzi. Wtedy zbliżył się do mnie Kazimierz. Och, nie podobał mi się wówczas: śmiał się i był wesoły, a mnie ciemniało w oczach. Spytał nakoniec, czy nie chcę pójść z nim. Odrzekłam: «tak». Po drodze owinął mnie w ciepłe futro, bo drżałam z zimna i nakoniec przyprowadził mnie do swego mieszkania. Tu dopiero gdy ciepło powróciło mi przytomność, spostrzegłam gdzie jestem i rozpłakałam się z osławienia i ze wstydu zarazem, bo widzisz, byłam sama jedna w mieszkaniu mężczyzny. Byłam w jego mocy. Zdawał się być zdziwiony memi łzami, potem zamilkł i usiadł koło mnie, a kiedym znów na niego spojrzała, miał łzy w oczach i natychmiast stał się zupełnie inny. Pocałował mnie w rękę i prosił, żebym się uspokoiła. Musiałam mu opowiedzieć wszystko, wszystko. Przyrzekł, że będzie pamiętał o mnie, jak o siostrze... Jaki był dobry, prawda? Od chwili jego poznania, nie zaznałam już niedostatku. Gdy odchodził, pocałował mnie znowu w rękę, ja chciałam toż samo uczynić: serce mi się ścisnęło, przycisnęłam rękoma piersi i szczerze zapłakałam. Ach, jakżem go wtedy kochała, jakżem go kochała!

Helena podniosła oczy w górę; w tych oczach

błyszczały wielkie łzy wdzięczności. Była piękna, jak natchniona. Szwarc jednak miał wyraz surowy, brwi zsunęły mu się na czoło. Myśl, że czczemu wypadkowi, marnemu podobieństwu winien był miłość tej kobiety, posępnym cieniem okryła mu twarz. Potkański inną drogą doszedł do niej. Porównanie to bolało Szwarca; przypomniał sobie słowa Augustynowicza i milczący prowadził dalej Helenę.

Przyszli na cmentarz. Wśród drzew bielały tam krzyże, kamienie i mogiłki. Miasto zmarłych w cieniu zielonych liści spało w cichej powadze. Kilka osób błądziło wśród krzyżów, między gałązkami odezwał się niekiedy ptak nawpół smutno, choć wdzięcznie. Gdzieniegdzie przesunęła się postać cmentarnego stróża.

Helena wkrótce znalazła grób Potkańskiego. Była to duża, obwiedziona żelazną kratą mogiła, u której stóp wznosił się mały, porosły murawą, pagóreczek. Leżał tam Potkański z dzieckiem Heleny. Kilka doniczek z kwiatami zdobiło groby, bo bokach rosła rezeda; wogóle mogiłki czysto, a nawet ozdobnie utrzymane, świadczyły o czyjejś starownej ręce.

Szwarc zawołał stróża, aby otworzył kratę; Helena uklękła tam z modlitwą w ustach i łzami w oczach.

— Kto utrzymuje te groby? — spytał Szwarc stróża cmentarnego.

— Przychodziła ta pani, przychodził i pan

jakiś z długimi włosami, ale teraz to go i nie widać — mówił stróż. — On zawsze płacił za kwiaty, on też kazał tu dać kratę.

— Ten pan także już tu mieszka; rok temu, jak go pochowali — odpowiedział Szwarc.

Stróż kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: «I ty tu zamieszkasz».

— Albo to co, proszę pana? W tamtem mieście kłopoty i umartwienia, a tu jak kto przyjedzie, to i leży spokojnie. Ja sobie nieraz myślę: coby ta Panu Bogu przyszło mizerować jeszcze duszę na tamtym świecie. Mało to człek tu ucierpi!

Po chwili Helena skończyła modlić się, Szwarc znów podał jej rękę. Szwarc był milczący, widocznie ciążyło mu coś na sercu; chcący czy niechcący powiódł Helenę inną, niż poprzednio, drogą. Nagle, blizko już bramy, wskazał ręką jedną z mogił i rzekł zimnym jakimś głosem:

— Patrz, Heleno, oto ten człowiek kochał cię za życia więcej, niż Potkański, a jednak ani wspomniałaś o nim.

Dzień pochylał się już cokolwiek; Helena rzuciła okiem na przedmiot, który ukazywał jej Szwarc. Na mogile stał czarny, drewniany krzyż, a na nim białą farbą były napisane słowa:

«Gustaw... zmarły dn... r...»

Promienie wieczorne malowały niby na krwawo litery napisu.

— Chodźmy stąd... ciemno się robi — szepnęła Helena, tuląc głowę do ramienia Szwarca.

Gdy wchodzili do miasta, mrok już zaczynał się na dobre, ale zabierało się na noc pogodną. Księżyc wielki, czerwonego koloru, wytoczył się z za Dniepru. W gęstych alejach Żandarmskiego ogrodu, tu i owdzie słychać było czyjeś kroki; z jednego okna, otwartego w przyległym pawilonie, słychać było tony fortepianiu; jakiś młodziutki głosik śpiewał pieśń Szuberta; tony drgały w ciepłem powietrzu — daleko, daleko na stepie odezwała się trąbka pocztarska.

— Śliczna noc — mówiła zcicha Helena. — Dlaczegoś smutny jakiś, Józefie?

— Siądźmy trochę — rzekł Szwarc — zmęczony jestem.

Siedli i, oparłszy się o ramiona, zadumali się trochę oboje. Nagle z zadumy wyrwał ich jakiś młody, dźwięczny głos; głos ten mówił:

— Słusznie, Karolu! Największem szczęściem jest czysta miłość kobiety, jeśli jest echem głosu prawdziwie męskiej duszy.

Dwaj młodzi ludzie, trzymając się pod rękę, przechodzili zwolna koło ławki, na której siedzieli Szwarc z Heleną.

— Dobry wieczór! — odezwali się obaj, uchyliwszy kapeluszy.

Byli to Wasilkiewicz i Karol Karwowski.

Szwarc, rozstając się z Potkańską, długo trzymał jej rękę przy ustach i cały wzburzony poszedł późno do domu.

## IX.

Na drugi dzień jednak Szwarc, wyspawszy się doskonale, był już zupełnie spokojny, śmiał się nawet z dnia poprzedzającego i z własnych obaw i niepokojów.

— Dużo się gada pięknych frazesów — myślał sobie — lecz rzeczywistość? Głupiec tylko odpycha od siebie szczęście. Gustaw najlepszym tego dowodem, co znaczy jednostronne, choćby najsilniejsze, choćby najbardziej męskie uczucie. To się życiem płaci, a ja mało jestem przydatny do tragedyi. Zresztą, kocham Helenę, a ona mnie. Co komu do tego? Augustynowicz, wstawaj-no urwisie! mów, co za szatan stujęzyczny zawracał wczoraj przez ciebie głowę jakiejś orzechowej parasolce, co?

— Widziałeś jej oblicze? — pytał Augustynowicz, zmuszając się do westchnienia.

— Widziałem i, na Jowisza, podobne do świeżo wyrwanej rzodkiewki, matka wyglądała, jak dzieżka kwaśnego mleka. Cóż, zakochałeś się, mój stary?

— Daj pokój, to bardzo bogate kobiety!

— Obie? Ileż ma córka?

— Ktoby tam zliczył taką sumę, a jeszcze będzie bogatsza.

— Bogatsza? o męża i dzieci?

— Nie, ale matka przyjechała w sprawie

procesowej, a czy wiesz, kogo procesuje? Naszego sąsiada hrabiego, winien jej kilka tysięcy złotych.

— Skądże to wiesz wszystko? Dawno ją znasz?

— Od wczoraj dopiero. Poznałem ją przypadkiem: pytały mnie o drogę, dokąd?... nie uważałem, na honor, ale powiedziałem, że czas jest bardzo piękny, i spytałem, czy nie zechcą iść ze mną na spacer. Staruszka gadatliwa wielce; natychmiast dowiedziałem się, kto są i po co przyjechały. Pytała się, czy nie znam hrabiego? odrzekłem, że bywam tam codziennie i że wpłynę na starego, by jej wrócił, co winien. Powiedziałem także, że jestem doktorem medycyny, teologii i wielu innych nauk i sztuk; że mam ogromną praktykę w Kijowie. Wtedy matka zaczęła mi do ucha opowiadać dolegliwości swoje i córki Powiedziałem, że będę u nich i zbadam rzecz na gruncie.

— Naturalnie. Cóż córka na to?

— Wywiesiła na obliczu czerwoną flagę... ale matka zgromiła ją za to, wezwała Wszystkich Świętych i zapewniła mi ich ogólne poparcie w chwili straszliwego sądu. Widzisz, com wygrał!

— Naiwny jesteś...

— Będę dziś u nich.

— U Świętych Pańskich?

— Nie, u moich nowych znajomych. Poradzę im, żeby obie zamąż poszły.

— Młodsza za ciebie?

— Cóż chcesz, mój drogi! człowiek się starzeje; zresztą, myślę, że i ciebie powitamy niedługo kosmatą dłonią?

— Prosiłem cię, żebyś się nie wdawał pomiędzy mnie i Helenę.

— Dobrze. Powiem tylko, że jest prześliczna!

— Ba! — odparł Szwarc ze źle ukrywanem zadowoleniem.

W tej chwili wszedł Wasilkiewicz.

— Na chwilę wpadam — rzekł — Karol czeka mnie na dole; jedziemy razem na wieś. Szwarc, mam do ciebie interes. Krótko! nie chciałem się mieszać w twoje stosunki miłosne, mimo próśb Augustynowicza, ale to się już ciągnie za długo. Powiedz, co myślisz zrobić z Potkańską?

Szwarc cisnął gwałtownie w kąt pokoju cybuch, który trzymał w ręku, poczem siadł i spojrzał Wasilkiewiczowi w oczy.

— Pytanie za pytanie — rzekł. — Powiedz, co ci do tego?

Wasilkiewicz zmarszczył się, nasrożył, ale odrzekł spokojnie:

— Pytam, jak kolega kolegi. Helena nie należy do rzędu tych kobiet, które się kocha dziś, a nie kocha jutro. Zresztą, przez pamięć na Potkańskiego, każdy z jego kolegów ma prawo żądać odpowiedzi na podobne pytanie.

Szwarc wstał, w oczach błyskały światełka gniewu.

— A jeśli ja nie dam odpowiedzi, to co? — zawołał. — Kto ma prawa do Heleny? kto śmie mieszać się między mnie a nią?

Teraz z kolei wybuchnął Wasilkiewicz.

— To ty myślałeś, ptaszku, że my ci pozwolimy czumanić biedną kobietę i nie spytamy, dokąd to prowadzi? Niech cię szatan porwie! Musisz przed nami odpowiadać za honor wdowy Potkańskiego, i nie ja jeden będę się o to upominał!

Stali czas jakiś naprzeciw siebie z groźbą na czole, jakby chcąc wypróbować się wzajemnie.

Wreszcie Szwarc, lubo drżący z gniewu, pierwszy zapanował nad sobą i zaczął mówić:

— Słuchaj-no, Wasilkiewicz! Gdyby mi kto inny to zrobił, wyrzuciłbym go za drzwi. Nie należę do tych, co pozwalają sobą rządzić, i nie rozumiem, dlaczego mieszacie się w nieswoje rzeczy. W każdym razie obraża mnie to. Odpowiadam więc tobie i wszystkim, co się o honor Heleny chcą upominać: że z tego honoru tylko przed sobą będę zdawał sprawę, że nie pozwolę nikomu mieszać się w moje występki, i że ty, i twoi, robicie wielkie, niczem niewytłumaczone, brutalne i szkodliwe dla Potkańskiej głupstwo, ujmując się za nią. Skończyłem i wychodzę, zostawiając ci czas do rozwagi nad tem, co zrobiłeś.

Wasilkiewicz został z Augustynowiczem.

— Cóż? zmył ci głowę? — pytał ten ostatni.
— A zmył.
— Hę? powiadasz tedy, że ci zmył głowę.
— Zmył.
— Głupstwoś zrobił, z nim trzeba było łagodnością, to twarda sztuka!

Szwarc udał się wprost do Heleny. Był do najwyższego stopnia rozdrażniony; nie umiał sobie wytłumaczyć postępku Wasilkiewicza, czuł jednak, że owa trzecia osoba, wdająca się między niego i Helenę, oddala ich tylko zamiast przybliżać.

Gdy wszedł do Heleny, drzwi od jej pokoju zastał zamknięte; służąca nie umiała mu powiedzieć, co pani robi. Uchylił drzwi, Helena spała, oparta o poręcz wielkiego fotela. Szwarc stanął we drzwiach i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Nie przebudziła się, krągła jej pierś podnosiła się i opadała lekkim, miarowym ruchem. Niemasz nic bardziej miękkiego, jak łagodny ruch piersi kobiecej. Oparłszy na niej głowę, można ukołysać się i usnąć, jak w kolebce lub w łodzi, trącanej falą. Każdy pamięta, jak tak usypiał na piersi matczynej. Tajemnicze królestwo snu zdradza się w kobiecie tym ruchem tylko, który możnaby nazwać błogosławionym, tak wiele warunków ludzkiego szczęścia faluje z nim razem w krainach spokoju. Ruch skrzydeł anielskich musi być do niego podobny. Usypia wszystko, zacząwszy od pła-

czu dziecięcia, do dumnych myśli mędrca. Głowa mędrca, śpiąca na piersiach kobiety, to największy tryumf miłości. Szwarcowi musiały podobne myśli chodzić po głowie, bo, patrząc na śpiącą Helenę, łagodniał ciągle, niby noc przechodząca w poranek; pochylił się ku niej i ustami dotknął lekko jej ręki. Helena drgnęła i, otworzywszy szeroko oczy, uśmiechnęła się jak dziecko, które ze snu budzi aksamitny pocałunek matki. Szwarc po raz pierwszy przychodził z pieszczotą tak miękką i delikatną, zwykle bywał jeśli nie surowy, to poważny; ale dziś przykre wrażenia kłótni z Wasilkiewiczem przychodził zatrzeć i zapomnieć u jej nóg. Cudowna potęga kobiety, pod której wpływem mętny osad duszy opada na dno niepamięci, ogarniała go zwolna. Zanadto jednak był wzburzony, by mu przez słowa nie miała się przecisnąć część goryczy, którą czuł przed chwilą.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy Potkańskiej, potem począł mówić:

— Heleno, zdaje mi się, że Cię bardzo głęboko kocham, ale głupota ludzka drażni moją miłość własną, wyzywa mnie. Chciałbym w tobie samej znaleźć w niej siłę. Ufaj mi Heleno, kochaj mnie!

— Nie rozumiem ciebie, mój Józefie?

Szwarc, ująwszy rękę Heleny, mówił łagodnie:

— A jednak powinnaś mnie rozumieć. Po-

chlebiam sobie, że nie ustąpię Potkańskiemu w miłości dla ciebie, ni w pracy o twoje szczęście. Ale jest między nami różnica. On, syn magnata, mógł odrazu podać ci rękę, otoczyć cię dostatkiem; jam syn rzemieślnika, ja długo jeszcze muszę pracować na twoje i własne szczęście. Nie opuszczę ciebie teraz, ale nie chcę, żebyś jako żona moja zetknęła się z zimną rzeczywistością ubóstwa, od którego cię tamten odzwyczaił. Do tego jednak potrzeba mi miłości twej i zaufania. Mów, Heleno...

Helena nic nie odrzekła, ale zbliżyła się do Józefa i, położywszy mu głowę na piersiach, podniosła nań oczy pełne dziecinnej ufności.

— Oto moja odpowiedź, Helenko moja dobra — rzekł Szwarc i długim pocałunkiem połączył jej usta ze swojemi.

— Może to egoizm z mojej strony, ale przebacz mi go — mówił dalej. — Nie zdobyłem ciebie zasługą, ani cierpieniem, nie uczyniłem dla ciebie nic zgoła. Widmo bogactw, jakiemi cię otaczał Potkański z jednej strony, poświęcenie Gustawa z drugiej strony stawałyby zawsze między nami. Pozwól mi zasłużyć na ciebie, Heleno, mam dość siły i energii, nie zawiodę ciebie.

Szwarcowi może zdawało się, że szczerze mówi, o ile jednak w słowach jego brała udział obrażona miłość własna, łatwo się każdy domyśli, rzuciwszy okiem na warunki, w jakich żyła

dotychczas Helena. Gdyby Szwarc prosił o jej rękę natychmiast, warunki te zmieniłyby się bardzo niewiele, a z pewnością nie na gorsze, bo w takim razie, dzieląc z nią mieszkanie pozbyłby się Augustynowicza i wszystkich wydatków, jakie ten za sobą pociągał. Z drugiej strony, należy mu przyznać, że słowa danego Gustawowi dotrzymywał z całą sumiennością. U Heleny nic się nie zmieniło; Szwarc tedy brałby ją w takich warunkach, w jakich zostawała od lat dwóch.

Była niezawodnie połowa prawdy w tem, co mówił Helenie o swej ambicyi; więcej jeszcze ważyła chęć rzucenia rękawiczki przeciwnikom, ale najważniejszym podobno powodem, dla którego nie żenił się z Heleną, był ich stosunek wzajemny; nadto zbliżenia między ludźmi, niepołączonymi węzłami, dającymi więcej prawa do pieszczot i pocałunków. Czara była do połowy wypita. Uprawnienie odbierało raczej urok zakazanego owocu, doznanej już słodyczy, niż obiecywało nowe.

Pokazuje się, że Augustynowicz miał trochę racyi.

Szwarc może sam przed sobą nie przyznawał, że dlatego nie pragnął zmiany owych stosunków, ponieważ było mu z nimi wygodnie.

Nie kochał więc Heleny?

Kochał, bo inaczej nie przychodziłby do niej codziennie, nie całowałby jej ust, czoła i rąk;

ale pamiętajmy, że to właśnie wypełnia w połowie pragnienie, któremu w innych warunkach czynimy zadość przez ołtarz.

Pojęcie «narzeczona», jest niby przezroczystą zasłoną na obnażonej kobiecie. Przychodzimy do ołtarza, żeby ją zerwać; zerwawszy, tracimy część uroku.

Poczciwa natura ludzka wynagradza ową stratę pojęciem «przywiązania»; gdy i tego zabraknie, występuje inna, jeszcze mniej powabna rzecz «przyzwyczajenie».

Ale życie się toczy.

Szwarc uchylił już zasłony, do zupełnego zerwania jej prowadziły dwie drogi: jedna nazywała się ołtarz, druga... druga była zapomnieniem się chwilowem, zwycięstwem namiętności nad honorem; mniej uczciwa, nieuczciwa po prostu, ale szybka i powabna.

Pierwsza była trudna; w drugiej każda chwila była pokusą, każdy pocałunek pobudką.

Do pierwszej zniechęcała niewczesna opieka nad Heleną, drugą radziła miłość własna.

Ale pierwsza była uczciwą, druga — nie.

Szwarc stał na rozdrożu.

Możnaby wprawdzie powiedzieć, że uczciwy człowiek nie powinien był się wahać; ale możnaby także spytać, jakby postąpił uczciwy człowiek w takim razie, gdyby siły pokusy były absolutnie większe od zasobów jego uczciwości?

Helena kochała Szwarca, odpowiadała ner-

wowo na jego pocałunki. Ze świadomością nie mogła decydować, nieświadomie przyrzucała ciężaru tej wadze, która w duszy Szwarca przeciwważyła uczciwość i honor.

Ileż to czarowne słówko «miłość», przynosi czasem z sobą wielkich i małych walk, udręczeń i niepokojów! Cała ta hałastra z gwarem i wrzawą, zbrojna w kolce i dzwonki, swawolna, gwałtowna, nadlatuje ze wszystkich stron, bawi się sercem, jak piłką, podrzuca aż pod gwiazdy, lub depce po ziemi. Otwierają się wówczas wszystkie pieczary twej duszy. Aniś się domyślił, co w nich mieszka. Wszystkie siedem grzechów głównych ze wszystkiemi cnotami, o których prawią katechizmy, idą o ciebie w zawody. Widzisz się być innym, niżeliś dotąd mniemał; przestajesz ufać sobie, podejrzywasz się na każdym kroku, tracisz rząd nad sobą. Namiętności, niby płomienie, powstają wówczas z głębi twej istoty i, jak ogniki na bagnie, chodzą, czołgają się, kołują, podskakują i nikną.

Noc ducha, rozdzierana ich światłem, ukazuje ci w ich kolorach twe własne wnętrze. Pełnisz rolę aktora i widza. Jesteś niby łódź bez wiosła na falach z płomieni... Potem grom jeden kończy wszystko, ognie niby fajerwerk gasną; śnisz wtedy, jak Dante, o piekle i niebie.

Smutno, gdy po przebudzeniu nie masz nikogo, ktoby ci wrócił przecierpiane chwile.

Wróci się, wróci spokój! Ale szczęście nie wróci. Ręka ucięta nie boli, ale jej niema.

Augustynowicz może miał trochę racyi, gdy mówił, że życia nie warto wydawać na jedno uczucie. Może nie należy rozbijać się o ciasne ściany własnego egoizmu i własnych zachcianek. Nad nami i obok nas szeroki świat, huczą tam fale wzdymane przez ludzkość całą, czyż nie lepiej odciąć kotwicę, odepchnąć okręt od brzegu, uciszyć rozpłakane serce i płynąć w przyszłość bez szczęścia, ale z pracą, bez wiary, ale z myślą?

To pewna, że do czasu takiej ogniowej próby nie można wyrokować o szlachetności kruszcu, z którego ulana dusza człowieka. Żadnych tedy gwarancyi za przyszłe postępki Szwarca dać nie możemy. Doznawał różnych pokus, to wiemy; ręczymy także, że walczył z niemi, jak mógł; jak jednak się skończyło, czy on, czy one okazały się silniejszemi, potem o tem powiemy.

---

## X.

Wracając do domu, Szwarc spotkał w bramie starego hrabiego z córką, schodzących ze schodów. Panna rzuciła nań ciekawem okiem, a, uszedłszy parę kroków, obejrzała się raz jeszcze z uśmiechem. Szwarc zauważył, że była

bardzo ładna, i z prawdziwem zadowoleniem usłyszał, jak mówiła ojcu: «To młody doktór, papo, który mieszka pod nami». Nie wiele mu już brakło wprawdzie do ukończenia uniwersytetu, — chętnie jednak usłyszał, że już go poczytują za doktora.

Mieszkanie Szwarca było otwarte, stróż domowy robił w niem porządek. Od niego dowiedział się Szwarc szczegółów o hrabi i hrabiance. Stróż nie lubił ich obojga; utyskiwał na ich skąpstwo, choć domyślał się, że musieli być bardzo ubodzy, bo i za mieszkanie nie płacili bardzo regularnie.

— Pannica harda — mówił — przez cały dzień nic nie robi, tylko gra i śpiewa; przykrzy jej się bez męża, ale cóż robić?

Stróż nie radził Szwarcowi poznawać się z niemi, «ile że hardzi ludziska, a w kieszeni, panie kochany, pustki».

— Stara hrabina dawno nie żyje? — pytał Szwarc.

— A będzie ze trzy lata, jak umarła. Bo to, widzisz pan, dawniej podobno byli bogaci, ale on stracił majątek na żbożu, co to niby miał odstawiać je współce do Odessy; nazarywał ludzi co niemiara. Ona była najlepsza z nich wszystkich. Zacna pani, ale też gryzła się i umarła. Już pięć lat, jak tu mieszkają.

— Znajomych, familii dużo mają?

— Nie muszą mieć, bo niewidziałem nikogo.

Następnie Szwarc w oczekiwaniu na Augustynowicza położył się do łóżka, a kazawszy sobie podać szklankę herbaty, usnął niebawem. Gdy się obudził, czuł się cokolwiek chory. Augustynowicza jeszcze nie było, choć już dobrze mroczyło się wówczas. Przyszedł w doskonałym humorze.

Dama, z którą się był poznał, nazywała się Wizbergowa, a miała córkę Karolinę. Augustynowicz auskultował obiedwie: córce przepisał taniec, matce — konną jazdę. Zresztą, obiecał być jeszcze u nich i przyprowadzić Szwarca.

— Stara dama mówiła mi, że już pozwy hrabiemu doręczone, co mnie zresztą nie obchodziło — mówił Augustynowicz. — Była nawet u hrabiego, ale zastała tylko hrabiankę, która jej się podobała. Panienka przestraszyła się bardzo, dowiedziawszy się o celu przybycia starej damy. Pytałem się starej damy, dlaczego upomina się o marne parę tysięcy, kiedy wydaje się być żoną Krezusa? Odpowiedziała, że jej nieboszczyk nazywał się Kleofas nie Krezus. «Żeby to moje — mówiła — pewno bym nie dokuczała im, ale to wszystko mego dziecka». Wtedy ja ścisnąłem z prawdziwem uczuciem rękę tego dziecka pod stołem: byłem po prostu rozczulony, słowo honoru, byłem rozczulony. Odchodząc, pocałowałem w rękę starą damę. Panna ma na imię Malinka, śliczne imię Ma-

linka, choć nie w tem rzecz, żeby się pięknie albo brzydko nazywać. Coś ty taki blady, Szwarc?

— Nie jestem zdrów zupełnie i spać mi się nie chce. Spałem, czekając na ciebie. Daj mi szklankę herbaty.

Augustynowicz nalał herbatę i, zapaliwszy fajkę, położył się do łóżka. Szwarc przysunął fotel do biurka i, wziąwszy pióro, zaczął pisać.

Wkrótce jednak przestał. Myśli tłoczyły mu się do głowy; oparł się o fotel i puścił im bieg wolny. Kto inny byłby marzył, Schwarz zbierał i sumował własną przeszłość, myślał nad warunkami, w jakich się teraz znajduje, obrachowywał się na przyszłość. Co do tej przyszłości, trudniej było utrzymać mu się w chłodnej roli rozumującego. Słowa: «To młody doktór, papo», mimowolnie przychodziły mu na pamięć. Być doktorem i trochę kapłanem nauki, z jednej strony panować rozumem, z drugiej znaczeniem, majątkiem, sławą, (Szwarc nie był jeszcze nieczułym na sławę), przyciągać spojrzenia, wywoływać uśmiechy, wreszcie jednać serca... Tu przypomniała mu się Helena. W krainie uczucia nie wolno mu już było wybierać. Czuł się związanym, a przecież chciałby widzieć zwracające się na niego oczy i uśmiechy ustek dziewiczych i słówka tak mile szeptane: «To młody doktór!» Pierwszy raz nie mógł opędzić się myśli, że Helena może mu być przeszkodą w jego pochodzie naprzód. Z tą myślą postanowił rozpra-

wić się. Wykształcenie jej nie stało na zawadzie — była wykształcona; miała lat dwadzieścia jeden, Szwarc dwadzieścia cztery, różnica lubo za mała, nie stanowiąca przeszkody. Jakież mógł mieć powody obawy, aby Helena nie ciążyła mu kiedyś. Sumienie powiedziało mu, że pierwszą przyczyną była jego próżność. Znał mało kobiet, a chciałby ich znać wiele i panować nad niemi? Ale istniały jeszcze inne względy, których nie przypuszczał Szwarc. Za mało kochał. W duszy jego leżały ogromne kapitały uczucia, on ledwo część ich podniósł na imię Potkańskiej. Nosił w sobie głuche poczucie tych sił, poczucie to odbierało mu spokój. Chciał uchwycić grunt rzeczy, a nie łatwo było, nawet takiej świadomej siebie głowie, jak Szwarc dojść do ostatnich rezultatów.

Zresztą, sam nie wiedział, czy przyszłe możliwe tryumfy warte były Heleny. Mieć za całą przyszłość przy sobie kobietę tak wdzięczną i tak kochającą, toż to samo, co w lot uchwycić przelatującą skrzydlatą marę szczęścia, a gdyby przytem wiedział, ile w tych przyszłych tryumfach będzie rzetelnej wagi, ile się tam zawiedzie, ile obliczy naprzód, byłby się nie wahał w wyborze. Ale nie zetknął się jeszcze z obłudą.

Te medytacye zmęczyły Szwarca, lampa w pokoju pociemniała, począł drzemać; nagle stuknięcie jakieś na górze przebudziło go znowu.

»I tam nie śpią« — pomyślał sobie, pomyślał o hrabiance i o jej wesołym uśmiechu. Jak też taka dziewczyna musi spać lekko i spokojnie! Jest jednak w tem coś prawdy, że dziewczyny podobne są do ptaków; człowiek pracuje i mozoli się i rozmyśla, a one... a to wcale ładny ptaszek ten na górze. Chciałbym ją widzieć śpiącą... Ale to już późno, godzina wpół do drugiej i mnie... Co to... i raptem zerwał się na równe nogi.

Gwałtowne targnięcie dzwonka ocuciło go zupełnie, otworzył drzwi i, podniósłszy lampę, spostrzegł przed sobą hrabiankę. Była blada jak trup, jedną ręką trzymała świecę, drugą ogarniała jej płomień. Na sobie miała czepeczek i giezłeczko nocne, przez które świtała jej szyja i piersi.

— Panie! — zawołała — ojciec mi umiera!

Szwarc, nie rzekłszy słowa, porwał narzędzia lekarskie, i zaleciwszy rozbudzonemu Augustynowiczowi, by ruszał co sił na górę, sam pobiegł za nią. W pierwszym pokoju stało łóżeczko hrabianki z kołdrą odrzuconą, snadź przed chwilą opuszczone; w drugim leżał hrabia. Oddychał, a raczej rzężał głośno; był już nieprzytomny, na ustach miał krwawą pianę, a twarz siną. Za chwilę przybiegł Augustynowicz nieuczesany i zaledwie ubrany. Obaj zajęli się chorym, nie zważając na hrabiankę, która z jękiem uklękła w nogach łóżka, prawie nie-

przytomna. Nagle Szwarc z Augustynowiczem spojrzeli sobie w oczy, wzajem spostrzegłszy, że niema najmniejszej nadziei.

— O, Boże, Boże! możeby jeszcze kogo zawołać! — wybuchnęła ze łzami hrabianka.

— Ruszaj po Skotnickiego! — krzyknął Szwarc.

Augustynowicz pobiegł, chociaż był pewien, że wróciwszy z doktorem nie zastaną już hrabiego między żyjącymi. Tymczasem Szwarc z całą energią i przytomnością umysłu zajął się chorym, puścił mu krew, wreszcie spojrzawszy na zegarek, oświadczył, że atak przeminął.

— Dzięki Bogu! Więc jest jeszcze nadzieja! — zawołała hrabianka.

— Atak przeminął... — powtórzył Szwarc.

Tymczasem weszli Augustynowicz z doktorem.

Doktór Skotnicki oświadczył, że chory na ten raz uratowany, ale dodał bez ceremonii, że jeśli atak powtórzy się raz drugi, śmierć niechybnie nastąpi. Kazał pilnować chorego i nie odstępować go na chwilę. Nasi przyjaciele siedzieli tedy noc całą.

Nazajutrz zrana chory oprzytomniał i zażądał księdza. Augustynowicz musiał iść po niego i rzeczywiście sprowadził jakiegoś chudego proboszcza, czy kapelana, który nad chorym odczytał zwykłe modlitwy i litanie, poczem wyspowiadał go, komunikował i namaścił olejem świętym

Przez kilkanaście godzin hrabia ciągle był przytomny, rozmawiał ze Szwarcem, błogosławił córkę, mówił o testamencie, słowem czynił to wszystko, co jest przyjęte przez umierających, jako chrześcijański i uczciwy sposób przeniesienia się z tego świata na tamten. Przy tych ceremoniach zeszedł dzień cały. Gdy się zmierzchło, Szwarc począł namawiać hrabiankę, by odpoczęła, bo biedna dziewczyna, mimo silnej budowy ciała, zaledwie mogła stać na nogach ze zmartwienia i niewywczasu.

Opierała się długo i przystała dopiero wtedy, kiedy jej prawie kazał to zrobić. Odchodząc, podała mu rękę, dziękując za starania około ojca. Szwarc wtedy spojrzał na nią uważniej. Mogła mieć lat dwadzieścia, a może i mniej, gdyż silnie rozwinięta postać kazała ją uważać za starszą, niż była w istocie. Średniego wzrostu, usta miała duże, ale miłe; błękitne, rozumne oczy i ciemne włosy. Wogóle twarz była nadzwyczaj sympatyczna. Czoło miała prześlicznie ocienione włosami, wyraz twarzy i ruchy zdradzały w niej wytworny, arystokratyczny typ piękności. Ręce przytem miała nader małe.

Hrabia zasnął w godzinę po jej odejściu. Szwarc z Augustynowiczem siedzieli przy jednej zasłoniętej lampce, obaj zmęczeni i zamyśleni.

Augustynowicz odezwał się pierwszy półgłosem:

— Powiedz mi, co się zrobi z hrabianką, kiedy ten?... — tu wskazał głową chorego i zamknąwszy oczy, pociągnął palcem po gardle.

— Myślę nad tem — odparł Szwarc. — Może znajdzie się ktoś z familii.

— A jeśli się nie znajdzie?

— Ostatecznie trzeba będzie o tem z nią pomówić. To widocznie ubodzy ludzie; stróż mi mówił, że mieszkanie dotąd nie opłacone. Ale nie bez tego, żeby gdzie nie mieli krewnych, albo przynajmniej znajomych.

— No, zresztą potem o tem — mówił Augustynowicz, który nie lubił długo zatrzymywać się na jednym przedmiocie.

— Czekaj przerwał Szwarc — na wszelki wypadek przychodzi mi jedna myśl do głowy. Do tej pory nikt tu jednak nie był, a niepodobna, żeby to biedactwo — pokazał oczyma drzwi, gdzie spała hrabianka — niepodobna, żeby to biedactwo pozostało samo po jego śmierci. Powiedz — spytał nagle — czy twoja znajoma Wizbergowa pobożna kobieta?

— O, jak patyna!

— Poczciwa, prostoduszna?

— Niesłychanie; ale cóż to ma za związek z hrabianką?

— Chcę jej oddać ją w opiekę.

— Ależ proces?

— Właśnie dlatego.

Tu chory poruszył się nagle. Szwarc spojrzał na niego bystro, poczem mówił, szepcząc:

— Jedno komorne staje mi na zawadzie, ale zrobi się to, zrobi się i owo. Może zostanie coś po jego śmierci.

— Oj, to komorne, to komorne — szeptał Augustynowicz. — Żebyśmy nie zasnęli, muszę ci opowiedzieć historyjkę. Nigdy nie płaciłem komornego, gniewało mnie to nawet, gdy się o nie upominano, a nie mogłem przyzwyczaić żadnego gospodarza, by go nie brał. Wreszcie udało mi się z jednym. Mieszkałem w domu jakiegoś urzędnika: Stary był człeczyna, a głupi, jak Midasowe uszy. Otóż raz siadłem sobie w ogródku, który do niego należał, a że to było latem i nocą, w braku lepszego zajęcia liczyłem gwiazdy na niebie. Rozmarzyło mnie to trochę, widzisz, noc gwiaździsta zawsze rozmarza. Wtem ten osioł przychodzi i mówi mi niedorzeczności: po prostu, żebym mu zapłacił. Wtedy powstałem z miejsca i zakreśliwszy uroczyście ręką łuk między wschodem i zachodem, spytałem tajemniczo:

— Widzisz tę niezmierność i te miliony świateł bożych?

— Widzę — odpowiedział przelękniony trochę tonem mego zapytania — ale...

— Milczenie! — rzekłem poważnym głosem i, zdjąwszy kapelusz, podniosłem oczy w górę, poczem, spojrzawszy na osłupiałego gospodarza, zagrzmiałem:

— Prochu marny! porównaj swoje pięć rubli...

Nagle przytłumiony jęk przerwał Augustynowiczowi. Hrabia posiniał, skurczył się, palce rąk jego zwinęły się w kłębek; widocznie przychodził drugi atak.

Szwarc w tejże chwili rzucił się ku choremu, prawie przemocą wyprostował mu rękę.

— Ts! puszczaj krew! — zawołał przytłumionym głosem.

Zrobiło się cicho; dziwnym trafem lampka w tej chwili pociemniała jeszcze bardziej. Od czasu do czasu słychać było tylko szybkie półgłośne słowa Szwarca.

— Puls?

— Wody!

— Dusi się — szepnął Augustynowicz. Obaj zatamowali w sobie oddech, odezwał się głuchy trzask lancetu, stal pogrążyła się w ciało, ale krew już nie poszła.

— No to i koniec! wszystko na nic! — zawołał Szwarc, odetchnąwszy głęboko.

Na czole wystąpiły mu krople potu.

— Żył, żył... aż umarł — rzekł z najobojętniejszą w świecie miną Augustynowicz. — Zrobiliśmy swoje, teraz spać.

## XI.

Hrabia istotnie umarł i pogrzebion wedle obrządku chrześcijańskiego. Po jego śmierci Szwarc złożył wizytę starej damie. Chodziło o zapewnienie opieki dla hrabianki, gdyż z familii nikt się rzeczywiście nie zgłosił, hrabia zostawił bardzo mierne środki utrzymania, a choćby i zostawił, panna była za młoda, by mogła na własną rękę dom prowadzić.

Ze względu na wysoką pobożność i niezmierną drażliwość sumienia owej damy, nietrudno było Szwarcowi przeprowadzić rzeczony interes. Wmawiał w nią, że zabiła hrabiego ostatnim procesem, że zatem obowiązkiem jej jest dać opiekę dziecku swej ofiary. Dama przelękła się mocno katuszy piekielnych, któremi jej groził, a z drugiej strony sądziła, że towarzystwo hrabianki, wysoko światowej i ukształconej, jak zaręczał Szwarc, nie będzie bez korzyści dla jej Malinki. Pani Wizbergowa była niewiasta zacna w całem znaczeniu, rozumu to tam wprawdzie nie miała wiele, a jeszcze mniej obycia się w świecie. Najlepszym tego dowodem było, że Augustynowicza uważała za szczyt elegancyi, poloru i dobrego tonu, a Szwarca od pierwszej jego wizyty bała się po trosze. Kontenta była jednak w duszy, że taka dystyngowana, jak mówiła, młodzież była łaskawa na jej nizkie

progi. Malinka, która z wielu względów przypominała matkę, seryo była zajęta Augustynowiczem. Wymogła na matce, żeby zostały na stałe mieszkanie w Kijowie; zresztą, stara dama trochę i w tym celu przyjechała do miasta. Córkę trzeba było światu pokazać, bo Malinka miała dziewiętnaście lat, a przez owe dziewiętnaście lat raz była w Kijowie, raz w Żytomierzu, resztę przesiedziała w domu. Fortuna pozwalała także na pobyt w mieście. Nieboszczyk pan Wizberg był za dni swoich urzędnikiem na komorze i mimo tego, że w mowie pogrzebowej nad jego trumną były powiedziane słowa: «Śpij, Kleofasie Wizbergu! przez długie wieki narody (cała Europa) będą podziwiały twą nieskażoność i surową cnotę», — mimo tych słów, mówimy, Kleofas Wizberg pozostawił nieutulonej w żalu małżonce około dziewięciukroć sto tysięcy złotych, a byłby pozostawił więcej, gdyby sroga Parka nie przecięła dni jego. Sytszy lat niż dochodów, zstąpił w królestwo cieniów.

Ale w dobre ręce dostały się owe dochody, bo obie damy miały niezmiernie zacne serca.

Pomagały wdowom i sierotom, płaciły regularnie sługom i służebnicom, dziesięciny wiernie kościołom swym oddawały, słowem, spełniały wszelkie uczynki chrześcijańskie tak co do ciała, jako i co do duszy. Hrabiankę przyjęły z otwartemi rękoma i z taką serdecznością, jakby jej rodzone. Szczególniej Malinka, poczciwa choć

niedowarzona dziewczyna, formalnie zakochała się z pierwszego wejrzenia w szlachetnej sierocie. Jak to ona obiecywała sobie być dla niej dobrą i usłużną, jak chciała ją pocieszać, jak marzyła o czystej na przyszłość z nią przyjaźni, trudno wypowiedzieć; dość, że Szwarc znalazł dla hrabianki taką opiekę, że i w domu własnych rodziców nie mogłoby być jej lepiej. Prawda, że i hrabianka łatwo mogła obudzić sympatyę. Cichy a głęboki smutek, przygniatający ją w tej chwili, nie odrywał jej tak dalece od rzeczywistości, aby nie umiała być wdzięczną tym, co jej dobrze robili. Szwarcowi podziękowała ze łzami w oczach wyciągnąwszy do niego rękę, którą ten z rzadkiem u niego wzruszeniem do ust przycinął.

— Jak Boga kocham! — mówił Augustynowicz — małom nie beknął, gdy na mnie spojrzała. Niech mnie dyabli porwą, jeśli nie jest sto razy ładniejszą, niż ja.

Owo i nowa postać, już obwołana głosami sympatyi, wplątała się w losy bohaterów tej książki. Że taka hrabianka nie mogła pozostać bez wpływu na nich, łatwo zrozumieć. Czy zaś przyszłość przypnie jej anielskie skrzydła do ramion, czy w onem ponętnem ciele wykaże duszę pełną oschłości i obłudy, dalszy ciąg nas o tem nauczy.

Hej, hej! Gdyby to życie było jak książka, gdyby można dawać i ludziom dusze, tak, jak

się tworzy je w myśli, niby ci sami, a inni byliby ludziska. Ale to wszystko jedno. «Bo jadłem świata tego zatrute kołacze» — mówi pacholę. Dusza jest jako źródło: zatrutą wodę niesie daleko, a któż zaręczy, czy mu trucizna nie leży w duszy na dnie, i czy zatrutych nie tworzyłby postaci. Dusza, to karta biała! Bóg na niej pisze z jednej, a szatan z drugiej strony; ale Bóg i szatan są tu tylko symbole. W rzeczywistości jest inna ręka: iście, że świat tą ręką. Pisze świat, piszą źli i dobrzy ludzie, piszą chwile szczęścia, piszą najtrwalej cierpienia. Ale bywają dusze, jak muszle. Muszla, ziarnko piasku, dusza ból w perlę zamienia, smutek i samotność prowadzą do tego.

Ale niezawsze i jak dla jakiej duszy. Smutek i samotność to czasem tylko pokrywa dla nudy, czczości i głupoty. Te siostry rodzone lubią mieszkać pod pałacami, stawianemi ze smutku i samotności, szukając tam tego, czego nie zgubiły nigdy. Nie idzie zatem, żeby samotność nie miała powabów, smutek ich nie ma, przynajmniej nie dla smutnego. Samotność dla duszy, to coś niby jak chwila snu dla ciała. Więcej jeszcze; ta mglista monada niby topnieje w samotności, rozpływa się, rozpuszcza, przestaje prawie istnieć; słowa i myśli kończą się w tej milczącej krainie, unicestwia się na chwilę, rozchodzi się na wszystkie strony od własnego środka.

Wszystko to nazywa się spoczynkiem.

Samotność jest najgorszą nazwą, jaką umysł ludzki wymyślić zdołał. Samotność nigdy nie jest samotną, towarzyszy jej zawsze cichość.

Szkoda, że mglistą szatę tej pani nosi najczęściej nader powabny paź, któremu na imię lenistwo.

Czasem jednak — mówią poeci — samotność bywa chwilą twórczą. Dusza ugina się wówczas i drży nachylając się do przyjęcia jakiejś wizyi, nadlatującej z zewnątrz.

Dlatego samotność lubią tylko głupcy lub mędrcy, ospalcy lub poeci.

Hrabianka wielce lubiła samotność.

Była tedy?... Zobaczymy...

Czas z tych mglistych krain zejść do rzeczywistości życia.

Wchodzi w nie i hrabianka.

Jako?

Jako młoda dziewczyna... Czy może być coś powabniejszego pod słońcem?

Taka śliczna mieszanina krwi, ciała, woni kwiatów, promieni słonecznych i... I czego?

I naszych złudzeń.

Leć, złoty motylu!

## XII.

Smutno istotnie przepłynęła przeszłość hrabianki. Za życia ojca całe dni przesiadywała w samotnym pokoju, prawie ubogim, słuchając świergotania wróbli za oknem lub kłótni dziewek w kuchni.

Stary hrabia przychodził wieczorami zmęczony i przybity ustawicznem przelewaniem z pustego w próżne, jak sam nazywał swoje sprawy. Nic mu się nie szczęściło. Swego czasu bywał obrotnym i zabiegliwym, chciał dawać przykład z siebie arystokracyi, jak to herbowni winni brać się do pracy i przemysłu, a w rezultacie stracił majątek. Zostało mu za to doświadczenie, które chętnie byłby sprzedał za jakie kilka tysięcy, i jeszcze jedna rzecz, której byłby nie sprzedał, to jest wspomnienia i duma rodowa.

Cementem dla owego doświadczenia i owej dumy był w nim kwas do życia, ludzi i całego świata. Było to naturalne. Swoi go nie przyjęli, a ci, którzy go przyjęli, przyjęli tak, że mimowolnie przychodziła na myśl bajka o lwie konającym i oślich kopytach. Żebyż miał jeszcze syna! Młode orlę wyleciałoby z gniazda z nowemi siłami, szukając słońca i blasku... ale córka? Hrabia się nie łudził: córka musiała zostać starą panną lub wyjść po jego śmierci za pierwszego, któryby się jej trafił. Dlatego hrabia nie kochał

tyle córki, ile był powinien. Córka za to, czy pomimo tego, kochała go serdecznie: kochała, bo miał białe włosy, bo był nieszczęśliwy, bo wreszcie nie miała kogo kochać. Nakoniec, on był dla niej ostatnim tomem opowieści, którą snuła dalej w marzeniach. Nieraz wieczorami zrzędny głos starca opowiadał jej dawne dzieje ich rodziny, pełne świetności i blasku, dobre dla hrabiów i hrabianek dzieje, a ona, słuchając go tkwiła całą duszą w tej przeszłości.

Nieraz zdawało jej się, że od złotego tła legendy odrywa się jakaś postać skrzydlata, pół-rycerz husarz z krzywą szablą w dłoni, orli syn stepów i walki. Machnął ręką i oczyściły się stepy z tatarstwa, rzekłbyś, Krym dojrzysz i morze błękitne za Krymem. Hej, zwykłe marzenia dziewczyny! Jak step szeroki, tyle pieśni o jego czynach, a potem on taki sławny choć tak kochany, schylał czoło przed jakąś postacią niewieścią. Zwykłe marzenia magnackiej dziewczyny! Ta niewieścia postać, to ona; on, to jakiś Herburt lub Korecki.

Jak była wychowana, tak marzyła, a były te marzenia niepożyteczne, ba, może i szkodliwe, ale piękne; to też gdy stary kończył opowiadanie i wspomniawszy teraźniejszość, dodawał z goryczą: «Moja wina, moja wina», ona mu ręce na szyi związawszy, mówiła zwykle: «Nie twoja tateczku! wrócą te czasy!»

Ale czasy nie wróciły. Stary umarł, a jako

opiekun nie zjawił się żaden wycięty ze zczerniałego tła obrazu rycerz. Postać, co się zjawiła, nie miała nic wspólnego z rycerskością. Ta głowa z twarzą surową i szerokiem czołem, zimna twarz nowoczesnego myśliciela, żadną miarą, nawet w marzeniach dziewczyny, nie pasowała do miedzianego hełmu i piór strusich. Inne potęgi musiały tętnić na czole prowadzącego uskrzydlone pułki na tatarów.

Ale z drugiej strony, Szwarc był czemś zupełnie nowem dla hrabianki, czemś, co ją wprowadzało w podziw. Niewiele w nim było słów, ale był czyn. W krótkim czasie potrafił być dla niej wszystkiem; dostrzegła w nim stanowczość, energię i szybkość działania. Może nie umiała sobie wytłumaczyć, że to także jest męstwo, tylko inne niż dawniej; czyż jednak mogła tego nie dostrzedz? Staremu hrabiemu nie udawało się nic; Szwarc, objąwszy jego interesa, robił w jednym dniu więcej, niż hrabia w dziesięciu. Zrozumiał, że hrabianka potrzebuje mieć jakie takie zasoby, by w drobiazgach nie odwoływać się do dobroci i kieszeni pani Wizbergowej. Na tę myśl ona drżała, on ją przewidział. Radykalnie ratował resztki dochodów hrabiego, a kroki jego w tym względzie były podobne do cięć lancetu, zawsze pewne, zawsze skuteczne. Naturalnie, Szwarc radził sobie przy pomocy znajomego prawnika, który, mimo młodych lat, byłby w dyabła wmówił bogobojność, ale dlaczego nie

poradził tak sobie stary hrabia? To naprowadziło hrabiankę na pewną myśl: arystokracyę wyobrażała sobie w postaci swego ojca, demokracyę — w osobie Szwarca.

— Och, jacyż to ludzie być muszą! — myślała prawie z obawą — straszni ludzie, którzy umieją łamać przeszkody, inni ludzie.

Resztę dopowiedziały jej książki. Hrabianka daleko zachodziła w takich myślach. Raz, gdy spytała o szczegóły jego przeszłości, usłyszała, jak odrzekł z całą swobodą:

— Mój ojciec był kowal!

Prawie nie rozumiała, jak taką rzecz można było tak naturalnie powiedzieć, zdawało jej się, że jeśli tak było, nie powinien był jej tego mówić, dlaczego się z tem nie krył? Te słowa były istotnie młotem, który ciężko uderzył w duszę hrabianki.

Obrzuciła Szwarca zdziwionym wzrokiem, jakby szukając na nim skórzanego fartucha, lub śladów iskier na dłoniach. Zresztą należy wyznać, że mimo całej wdzięczności dla niego i pani Wizbergowej, sądziła z początku, sądziła wprawdzie cicho, że korona hrabiowska, unosząca się nad jej czołem, zjednała jej tych ludzi; sądziła, że przygarniając pańskie dziecko, robili to trochę dla własnego zaszczytu. Otóż poznała, że przynajmniej co do Szwarca pomyliła się zupełnie. Wymawiał on słowo «hrabia», tak jak «żyd», «cygan» lub «szlachcic», nie zwracając

nawet uwagi na odrębność znaczenia sensu tych dźwięków. Czyżby tego nie rozumiał? Nie, tego nie mogła przypuszczać, choć rzeczywiście kwestya arystokracyi i demokracyi leżała dotychczas odłogiem w jego duszy. Posądzała go tedy o umyślną ignorancyę — ale tego nie dosyć — hrabianka spostrzegła, że w postępowaniu Szwarca z nią przebijała się pewna wyższość, a raczej pobłażliwość. Był dla niej delikatny i dobry, ale w ten sposób, jakby chciał okazać, że jego postępowanie było ustępstwem potęgi dla słabości, pobłażliwością sprężystego męża dla dziecka. Choć z drugiej strony, jakże bezpieczną czuła się pod taką opieką! Zdawało jej się, że dla Szwarca nie było nic niepodobnego. Mogła spać cicho i spokojnie, on czuwał. Zrazu jednak próbowała inaczej postawić się względem niego; pragnęła była olśnić go swem ukształceniem, tymczasem wypadło to, że Szwarc łagodnie sprostował jej pojęcia, pokazał, co w nich prawdziwego, co mylnego; krótko: ku wielkiemu jej zmartwieniu nauczył i oświecił; próbowała zaimponować talentem i pewnego razu, siadłszy do fortepianu, niby chcący, niby nie chcący, rozsypała przed nim kaskady melodyi, ale cóż? utrapiony Augustynowicz siadł po niej i zagrał daleko lepiej... Ten znów wszystko umiał, wszystko wiedział! Z bardzo zadumaną minką powróciła hrabianka owego wieczoru do swojego pokoiku. Że jednak te stosunki pojęła

i zrozumiała, dowodziło to w niej niepośledniej główki, a nie było dziwnem, że o nich myślała w tak krótkim czasie po śmierci ojca, bo nawet i rozpacz «dobrze ułożonej» kobiety ma w sobie pewną mniej więcej świadomą, a zawsze niewinną kokieteryę.

Zawiązywała się tedy cicha walka między młodem dzieckiem ludu a arystokratyczną dziewczyną. Wytworzyły ją owe zaledwo dające się ująć stosunki, o których wspomnieliśmy wyżej. Walka ta tem była niebezpieczniejsza dla niego, że się jej nie domyślał: hrabianka nie zdołała go olśnić, ale budziła w nim najżywszą sympatyę, stała mu się niby ukochanem dzieckiem, którego losy trzymał, jak sądził, w dłoni.

Zajęty nią żywo, zaniedbywał Helenę; wizyty jego u tej ostatniej stały się rzadsze. Więcej gonił za myślą zrobienia przyjemności hrabiance, niż uciekał przed myślą wyrządzenia Helenie przykrości.

Co do hrabianki, łatwo zrozumieć, że i w jej uczuciach dla niego nie było, ani mogło być nic nienawistnego. Trochę rozbudzona miłość własna prędzej mogła wieść do miłości niż do nienawiści. Prawdę powiedziawszy, hrabianka Lula chciała po prostu, żeby ten energiczny demokrata schylił w przyszłości korną i rozkochaną głowę do jej arystokratycznych kolan.

Nie od razu jednak postawiła cel jasno; postawiła go dopiero wówczas, gdy spostrzegła,

że Szwarc jest przytem pięknym mężczyzną. Przypominamy nawiasowo, że hrabianka Leokadya miała dwadzieścia lat i że od dawna w duszy jej budziły się rozliczne tęsknoty i niepokoje, z których nie umiała sobie zdać sprawy. W języku poetów nazywałoby się to echem pragnienia, «by kochać i być kochaną, a może nawet, by umrzeć młodą»; czemkolwiek to jednak było, wystarczało, by Luli dostarczyć wątku do ustawicznej myśli o Szwarcu. Zaufanie, jakie doń miała, a wdzięczność za doznaną opiekę, z dnia na dzień zwiększały jej sympatyę ku niemu.

Wprawdzie matka mówiła za dni swoich Luli, że dobrze wychowana panna nie powinna się kochać, ale natura matka szeptała jej zgoła co innego. Zaiste, podobne mamy częstokroć bywają z sobą w niezgodzie. Wypada z tego, że w duszach większości niewiast rzadko wzrośnie i spotężnieje szerokie a bujne uczucie, natomiast krzewi się tam tysiące nerwowych miłostek, mniej skrzydlatych, ale... i mniej obowiązujących.

Lula konstatowała tedy fakt, że Szwarc jest rozumnym, szlachetnym i pięknym mężczyzną, nie śmiemy zaręczać, na który z ostatnich przymiotów kładła większy nacisk. Owóż tego wieczoru, idąc spać, zadawała sobie ważne w następstwa pytanie: «A gdyby on mnie kochał?» Zamiast odpowiedzi, pobiegła bosemi nóżkami

nawpół rozebrana do zwierciadła. Autorom tylko wolno widzieć podobne obrazki. Czepeczek nocny obejmował jej główkę, a z pod czepeczka sypały się pierścionki ciemnych włosów na białe ramiona, ginąc pod rąbkiem bielizny. Z błyszczącemi oczyma i falującą piersią patrzała w zwierciadło. «A gdyby on mnie kochał? — powtórzyła — gdyby klęknął tu blady i pałający...« Tu? i w takiej chwili? krwawy rumieniec oblał jej twarz i szyję, zdmuchnęła świecę.

Odtąd szczególne zmiany zaczęły się w niej pojawiać; czasem opanowywał ją dziwny niepokój, wpadała w zamyślenie, czasem chodziła senna jakaś i ociężała niby oslabiona; indziej, kryła znów główkę na piersiach Malinki, całując ją bez przyczyny. Szwarca widywała codziennie.

A tak płynęły dni... miesiące... a powoli i w duszy Szwarca zaczął się odbywać niejaki przewrót. Zwolna owo dziecię ukochane dojrzało w jego duszy i zmieniło się w piękną, w pełnym rozkwicie kobietę. Wzrok jego, gdy na nią patrzał, nie miewał już owej dawnej pełnej przeźroczystości i spokoju; dawniej mógłby był uśpić ją na własnych piersiach i senną zanieść, jak dziecię, do łóżeczka; dziś sprawiłoby mu to przerażająco inną sensacyę. Coraz potężniała sielanka w duszy obojga, aż wreszcie, po upływie tylu a tylu dni, czy tylu a tylu miesięcy takie dwie rozmowy toczono w mieszkaniach pani Wizbergowej i Szwarca.

. . . . . .

— A gdybyś kochała, Malinko?

— To wtedy, moja Lulu, byłabym bardzo szczęśliwa i bardzobym kochała, i widzisz Lulu, Pan Bóg by sprawił, że on mnie kochałby także.

— A gdyby nie kochał?

Malinka potarła czoło rękoma.

— Nie wiem, nie wiem, ale mi się zdaje, że kochać a kochać to różnica. Jabym kochała tak... Boże! ja nie umiem tego powiedzieć... ot, takbym kochała...

Malinka zarzuciła ręce na szyję przyjaciółki i przycisnąwszy ją do piersi, osypała ją pie szczotą i pocałunkami.

— Lulu moja, wtedy musiałby mnie kochać.

I jak dwa gołębie, kryły głowy na piersiach jedna drugiej.

Było milczenie.

— Malinko! — rzekła ze łzami w głosie Lula.

— Lulu, moja serdeczna!

— Malinko, ja kocham.

— Wiem, Lulu.

. . . . . .

— Stary! — mówił Augustynowicz do Szwarca.

— Cóż tam nowego?

— Niech mnie!... jeśli to nowe. Widziałem, stary, całowałeś woalik hrabianki... Niech mnie powieszą, jeśliś nie całował... No, lubisz całować; czekaj, mam tu parasol, będziesz całował, a jeśli

parasola nie chcesz, to może zeszłoroczne moje okrycie. Podszewka poobrywała się w rękawach, zresztą dobra. Niech mnie! Podajno fajkę... Wiem stary, co się to znaczy; ta głupia Wizbergowa nic nie wie, ale ja wiem.

Szwarc zakrył twarz rękoma.

Augustynowicz patrzał na niego w milczeniu; szurgał nogami pod stołkiem, pochrząkiwał, mruczał coś przez zęby, wreszcie odezwał się wzruszonym głosem.

— Stary!...

Szwarc nic nie odpowiadał.

Augustynowicz ze współczuciem trząsnął go za ramię.

— No, stary, nie gryź się, nie martw... odezwijże się przecie, idzie ci o Helenę.

Szwarc drgnął.

— Idzie ci o Helenę. Uczciwy jesteś, stary... Co tu z nią zrobić... Wiem! Jeśli chcesz, stary? ożenię się z nią; na Jowisza, ożenię...

Szwarc wstał.

Pięknie mu świeciło na szerokiem czole postanowienie, a lubo z zasuniętych brwi czytałeś ból i walkę, widać było, że zwycięstwo tam padnie, gdzie Szwarc zechce.

Ścisnął rękę Augustynowicza.

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Do Heleny.

Augustynowicz wytrzeszczył na niego oczy.

— Do He-le-ny?...

— Tak! — odrzekł Szwarc — dość oszustwa i wahań! Do Heleny z prośbą o jej rękę.

Augustynowicz popatrzał za odchodzącym i, ruszywszy głową, mruknął sobie przez zęby:

— Widzisz, głupi Adasiu, jak to ludzie robią.

Poczem nabił fajkę, przewrócił się na łóżko i pykał ze zdwojoną energią.

---

## XIII.

Heleny nie było w domu. Szwarc kilka godzin czekał na nią, chodząc niespokojnie po jej pokoju. Postanowił za jaką bądź cenę wyjść z fałszywego stanowiska, w jakie wtrąciła go równoczesna opieka nad wdową i hrabianką, ale sam przed sobą wyznawał, że postanowienie owo bolało go. A był to ból twardy, prawie fizyczny. Szwarc przyszedł prosić o rękę Heleny, a zdawało mu się w tej chwili, że jej nie cierpi. Ku tamtej rwał się sercem i myślą, rzekłbyś, czuł prośbę we własnej piersi, że prosił u własnej woli o chwilę jeszcze dla tamtej. Kochał Lulę, jak tylko natury energiczne, a napozór zimne, kochać umieją.

Przygotowywał się do przyjęcia Heleny, a przewidywał, że niemało go to kosztować będzie. Niemasz nic wstrętniejszego, jak niekochanej kobiecie mówić, że się ją kocha. Jest to jedna z najmniej możebnych hipokryzyi dla prawdziwie męskiej natury. Szwarc kochał ongi Helenę, ale ją przestał kochać, jeszcze zanim się opatrzył, jak i ile przywiązywał się do Luli. Gdy się opatrzył, miewał chwilę słabości; tę nową miłość czuł; a bał się o niej myśleć i przyznać. Gdy serce zagłośno gadało, mówił doń: milcz! i zatykał uszy, bojąc się własnych możliwych postępków i własnych na przyszłość postanowień. Nie było to z nim zgodne i długo trwać nie mogło. Wypadkiem Augustynowicz z właściwym sobie cynizmem rzucił mu w oczy tą miłością. Dalsza ucieczka była już niepodobną, Szwarc stanął do walki i wyszedł z niej... do Heleny.

Ale nie wyszedł bez śladów walki. Miał gorączkę we krwi i nie mógł myśleć spokojnie Rozmaite obrazy małych a drogich wspomnień przychodziły mu na pamięć, przytem, w tej chwili więcej niż kiedykolwiek wierzył we wzajemność Luli. «Czy mam prawo łamać i jej szczęście?» Ta głupia i niedołężna myśl huczała w nim, jak ostatnie strzały zwyciężonych wojsk, rozbił ją jednak refleksyą, że między nim i Heleną stoi obowiązek, między nim i hrabianką — nic.

Inne tkwiły trudności w następstwach postanowienia Szwarca. Postanowienie było uczciwem, a jednak żeby go zmienić w czyn, należało skłamać i potem kłamać przez całe życie, udając miłość.

— Zle następstwem dobrego! Eh, czy nie przyjdzie zwaryować — myślał Szwarc. — A to życie się plącze, jak nić. Każdy kręci się za szczęściem, jak pies za własnym ogonem, i każdy z równem powodzeniem go goni.

— Ho! Szwarc, nie lubiący deklamacyi, wpadał jednak w dyalektykę nieszczęścia. Taka filozofia ma jednak urok: człowiek lubi swą niedolę, jak dolę.

Tymczasem zapadał wieczór, a Heleny nie było widać. Szwarc przypuszczał, że musiała pójść na cmentarz, i sam nie wiedział, dlaczego myśl owa rozgniewała go tym razem. Tymczasem zapalił świecę i jął chodzić po pokoju. Przypadkowo wzrok jego padł na portret Potkańskiego; Szwarc nie znał go, a nie lubił, chociaż na usprawiedliwienie antypatyi, zaledwie mógł przytoczyć słowo «panicz».

Teraz gdy znów spojrzał w owo szerokie, pogodne oblicze, prawie nienawiść błysnęła mu w oczach.

— Ostatecznie i dla niej jestem tylko konterfektem tamtego — myślał.

Nie była to prawda. Szwarc różnił się charakterem od Potkańskiego i Helena kochała już

dziś Szwarca dla Szwarca; niemniej ta myśl ubodła go, dużo byłby dał, gdyby Helena nie była żoną ongi tamtego i gdyby nie miała z nim dziecięcia.

— I ja będę miał dziecię — rzekł Szwarc — syna, którego wychowam na dzielnego i twardego męża... Ha, gdyby to przyszłe dziecię było mojem i... Luli!

Wstrząsnął się febrycznie i zacisnął usta; kilka kropel potu błysnęło mu na czole.

W tej ostatniej myśli był cały ocean pragnień.

Posiedział tak jeszcze z pół godziny, nim przyszła Helena. Była czarno ubrana; przy tym kolorze wytwornie odbijała jej matowa barwa twarzy i blond włosy. Ujrzawszy Szwarca, uśmiechnęła się bojaźliwie, ale wielka radość była w tym uśmiechu, bo Szwarc w ostatnich czasach rzadkim u niej bywał gościem.

Szczęściem dla siebie, miała tyle taktu, czy niewieściego przeczucia, że nie robiła mu wymówek, nie śmiała także głośno ucieszyć się jego przybyciem, nie wiedząc, co jej przynosi. Ale dłonią, którą mu podała, objęła silnie i szeroko, choć miękko jego rękę. Ta dłoń drgała serdeczną wymową ruchów, tłumaczącą obawy i uczucia wówczas, gdy usta milczą.

Ze smutnym uśmiechem i tak wyciągniętą ręką czarowała niewypowiedzianym urokiem kobiety rozkochanej. Gdyby miała gwiazdę we

włosach, mogłaby ujść po prostu za anioła, może nawet miała koło głowy aureolę, jaką daje miłość, ale dla Szwarca nie była aniołem, ani nie miała aureoli.

Dotknął jednak ustami jej ręki.

— Siądź, Heleno, koło mnie i słuchaj — mówił. — Dawno nie byłem u ciebie, a chciałbym, żeby wróciła między nami dawna swoboda i dawne zaufanie.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, ręką poprawiła włosy i siadła, milcząc. Wielka niespokojność malowała się na jej twarzy.

— Słucham cię, Józefie.

— Cztery lata już, jak umarł Gustaw, który powierzył mi ciebie. Spełniałem dane mu przyrzeczenia, jak mogłem i umiałem, ale stosunek nasz nie był taki, jak być powinien. To się musi zmienić, Heleno...

Potrzebował odetchnąć, miał wydać wyrok na siebie.

W ciszy, jaka trwała przez chwilę, słychać było uderzenia serca Heleny. Twarz jej bladła, oczy mrużyły się szybko, jak zwykle u kobiet przerażonych.

— Musi się zmienić? — szeptała zaledwie dosłyszalnie.

— Bądź moją żoną.

— Józefie!

Złożyła ręce, jak do modlitwy, i chwilę po-

patrzała na niego błędnemi od tłoczących się myśli i uczuć oczyma.

— Bądź żoną moją. Czas, o którym ci dawniej mówiłem, nadszedł.

Zarzuciła mu ręce na szyję, głową wsparła się na jego piersi.

— Ty nie szydzisz ze mnie, Józefie! Nie, nie! Więc ja będę jeszcze szczęśliwą? O, ja ciebie tak kocham!

Pierś Heleny falowała... Opromieniona mimowiednie zbliżała twarz i usta do ust Szwarca, jak kielich kwiatu.

— O, byłam bardzo smutna, samotna — mówiła dalej — ale wierzyłam w ciebie! Ufa serce, gdy kocha. Tyś mój! Ja tylko przez ciebie żyję, bo i cóż to jest życie? kiedy się człowiek śmieje i weseli, smuci i płacze, myśli i kocha — to w tem jest życie. A ja weselę się i płaczę tylko przez ciebie, o tobie myślę, ciebie kocham. Gdyby nas chciano rozłączyć, roztargałabym włosy i owinęła koło nóg twoich. Byłam jak płomień, na który mogłeś dmuchnąć. Jam twoja, pozwól mi płakać! Kochasz ty mnie?

— Kocham.

— Przepłakałam tyle lat, ale nie temi łzami, któremi dzisiaj płaczę. Tak mi w duszy jasno! Pozwól mi zamknąć oczy i zobaczyć tę światłość. Ileż to szczęścia w jednem słowie! Józefie mój, Józefie! ja nawet nie umiem o tem myśleć!

Ciężko było Szwarcowi słuchać podobnych słów

Heleny; czuł cały bezmiar kłamstwa i rozbratu, w jakim miało mu odtąd popłynąć życie z tą kobietą tak piękną, tak wiele kochającą... a tak mało kochaną.

Wstał i pożegnał ją.

Helena, zostawszy sama, przyłożyła płonące czoło do szyby okienka i długo pozostała tak milcząca. Wreszcie otworzyła okno i, wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzyła się w szeroką wyiskrzoną noc letnią. Po jej twarzy płynęły ciche łzy; złoty warkocz spadał poplątany na piersi, księżyc biegał po jej czole i srebrzył białość ubioru.

---

## XIV.

W kilka dni później Augustynowicz, siedząc w mieszkaniu Szwarca, pracował wiele na intencyę zbliżających się egzaminów. Miłując we wszystkiem efekt, okna pozasłaniał roletami, a na środku izby ustawił stół, przed którym stał w tej chwili z pozawijanymi za łokcie rękawami. Widocznie robił jakieś doświadczenia; na stole było mnóstwo szklanych rupieci, stały słoiki pełne proszków i cieczy, paliła się spirytusowa lampka, ogarniając błękitnym płomieniem głupowatą głowę retorty, drżącą pod wpływem gorąca, zawartego w niej płynu.

Robota paliła się, jak to mówią, w rękach Augustynowicza; nikt nie umiał tak szybko pracować, jak on.

Z wesołym uśmiechem na twarzy pracował istotnie z zapałem, często przerywając sobie piosenką, dyalogiem z pierwszem lepszem naczyniem, lub pobożną uwagą nad znikomością świata tego.

Czasem ciskał na chwilę robotę i, wzniósłszy oczy i ręce do góry, deklamował wielce tragicznym tonem:

Ach, Eurydyko! przy twej piękności
Przeszedłem szczeble mej pomyślności,
I wyrok Delfów był niewątpliwy,
Żem ja na ziemi jeden szczęśliwy.

Czasem znów w setnych trelach i spadach śpiewał:

O piano! piano! — Zitto! pia-ha-ha-no!

Lub podobne utwory własnego na prędce pomysłu:

A gdybyś fajkę, młodzieńcze nałożył
I palcem przybił, a potem zapalił?

— Na Mahometa! — mówił do siebie — gdyby to Szwarc przyszedł, prędzejby ta robota poszła, ale on teraz ślubuje Helenie... Ehe! i jabym tak ślubował, jak mi niewinność miła!

Droga Heleno, dozwól... I cóż dalej?... Ba, im dalej, tem lepiej.

Nagle pociągnął ktoś za dzwonek.

Augustynowicz zwrócił się ku drzwiom i, wyciągnąwszy rękę, zaintonował:

Przechodniu znużon drogą,
Wejdź w me gościnne progi!

Drzwi się otworzyły, młody, wytwornie ubrany człowiek wszedł do pokoju.

Augustynowicz nie znał go.

Najważniejszym rysem charakterystycznym nowoprzybyłego był aksamitny spencerek i jasne spodnie, był przytem umyty, ogolony i uczesany. Twarz miał nie to żeby głupowatą, ale i nie mądrą, nie piękną, ale i nie brzydką, nie dobrotliwą, ale i nie złośliwą, był przytem wzrostu ani wysokiego, ani nizkiego, nosa, ust, brody i czoła miernego, znaków szczególnych żadnych.

— Czy tu mieszka pan Szwarc?

— Pewnie że tu.

— Można go teraz widzieć?

— Teraz można; w nocy jak bardzo ciemno, to co innego.

Nowoprzybyły zaczynał tracić cierpliwość, ale twarz Augustynowicza wyrażała raczej wesołość, niż złośliwość.

— Właściciel tego domu — rzekł — przysłał mnie do pana Szwarca, jako do świadomego

mieszkania i losu hrabianki Leokadyi N. Czy nie raczysz pan dać mi jakich co do niej objaśnień?

— Oho, bardzo przystojna!

— Nie o to chodzi...

— Właśnie, że o to, kochany panie! A gdybym też odpowiedział brzydka jak noc! czy byłbyś pan ciekawy ją poznać? Nie!... nie, na proroka!

— Jestem Pełski, kuzyn jej...

— A ja wcale nie jestem jej kuzynem!

Przybyły zmarszczył czoło.

— Pan mnie nie rozumiesz lub żartujesz!....

— Wcale nie, chociaż pani Wizbergowa zawsze to samo utrzymuje. Ale pan nie znasz pani Wizbergowej? przednia kobieta. Tem się odznacza, że ma córkę, choć to nic wielkiego mieć córkę; przytem bogata, jak Jowisz!

— Panie!

— Otóż słyszę kroki na schodach, idzie Szwarc — nie? założę się z panem, że to Szwarc. O co?

Istotnie, drzwi się otworzyły, wszedł Szwarc.

Surowa i inteligentna twarz jego, rzekłbyś, dojrzała w ostatnich czasach; we wzroku była spokojna energia człowieka zdecydowanego w wyborze postępowania na przyszłość.

— Oto pan Pełski, a to, do dyabła, Szwarc, doktór medycyny — prezentował Augustynowicz.

Szwarc spojrzał na przybyłego badawczo.

Tymczasem Pelski wyjaśnił mu cel swego przybycia, a choć na wiadomość o pokrewieństwie panicza z Lulą czoło Szwarca zmarszczyło się lekko, jednakże bez wahania wskazał jej adres.

— Żegnam pana — rzekł wkońcu — hrabianka będzie mocno uradowana, znalazłszy w nim kuzyna, szkoda jednak, że przed paru miesiącami nie mogła nikogo z krewnych odszukać.

Pelski bąknął coś niezrozumiale. Widocznie, postać i sposób obejścia się Szwarca imponowały mu niemało.

— Dlaczegoś mu wskazał adres Luli? — pytał Augustynowicz Szwarca.

— Dlatego, że byłbym popełnił śmieszność, nie chcąc go dać.

— A ja go nie dałem!

— Cóżeś mu powiedział?

— Tysiąc rzeczy, z wyjątkiem adresu, nie wiedziałem, czy będziesz kontent z tego.

— Byłby go i tak znalazł.

— Ehe, będzie wesoło u pani Wizbergowej. Będziesz tam dzisiaj?

— Nie!

— A jutro?

— Nie!

— A kiedy?

— Nigdy.

— Nie sztuka, stary, uciekać przed niebezpieczeństwem.

— Jam nie rycerz błędny, nie Don-Kichot, wolę unikać niebezpieczeństw i zwyciężyć, niż wywoływać je i upaść. Nakazuje mi tak nie średniowieczna fanfaronada, ale rozum.

Nastała chwila milczenia.

— Byłeś wczoraj u Heleny? — pytał Augustynowicz.

— Byłem.

— Kiedy wasz ślub?

— Natychmiast jak uzyskam stopień.

— Może to i lepiej dla ciebie, że sprawa tak się skończy.

— Dlaczego to mówisz?

— Kiedy bo nie wiem, czy się nie rozgniewasz, ale ta Lula, ot, ja jej nie wierzę, do kroćset!

Szwarca oczy błysnęły dziwnem światłem; położył rękę na ramieniu Augustynowicza.

— Nie mów ty o niej nic złego! — rzekł z naciskiem.

Szwarc istotnie chciał, by hrabianka, oderwana odeń mocą wypadków, pozostała mu w duszy niepokalana. Lubował się jej wspomnieniem.

— Co jej mam powiedzieć — spytał po niejakiem milczeniu Augustynowicz — gdy się zapyta o ciebie?

— Powiedz jej prawdę; mów, że się żenię z inną.

— Eh, stary, powiem jej co innego.

Szwarc spojrzał mu w oczy.

— Dlaczego?

— Ot, tak!

— Mów jasno!

— Ona cię niby kocha!

Twarz Szwarca zaplonęła; wiedział o wzajemności Luli, ale wiadomość ta z obcych ust wstrząsnęła nim. Piersi napełniła mu słodycz i jakby rozpacz obok słodyczy.

— Kto ci to powiedział? — spytał.

— Malinka... ona mi wszystko mówi...

— Więc powiedz Luli: że się żenię z inną, z miłości i obowiązku.

— Amen! — zakończył Augustynowicz.

* * *

Wieczorem Augustynowicz poszedł do pani Wizbergowej; otworzyła mu drzwi Malinka.

— To pan? — rzekła z rumieńcem.

Augustynowicz porwał jej ręce i ucałował po wiele razy.

— Ach, panie Adamie, nie można, nie można! — nalegała sploniona dziewczyna.

— Można, można! — odpowiedział tonem głębokiego przekonania.

— Ale, ale — rzekł, zdejmując paletot i zapinając rękawiczki; ubrany był nadzwyczaj wytwornie. — Był tu jaki młody człowiek dziś po południu?

— Był, przyjdzie wieczorem.

— Tem lepiej.

Weszli z Malinką do salonu. Salon wyglądał jakoś uroczyście, jakby na przyjęcie znakomitego gościa. Na stole paliła się dwuramienna lampa, fortepian był odkryty.

— Dlaczego pan Józef z panem nie przyszedł?

— Toż samo pytanie spotka mnie od hrabianki Luli... myślę, że jeszcze spotka; w każdym razie, pozwól pani odłożyć odpowiedź aż do jej zapytania.

Hrabianka nie dała długo na siebie czekać. Weszła ubrana czarno, miała tylko kilka pereł we włosach.

— A pan Józef? — spytała odrazu.

— Nie przyjdzie.

— I dlaczego?

— Zajęty. Buduje własną przyszłość.

Hrabiance przykro zrobiło się na myśl, że Józef nie przyjdzie.

— A pan nie pomagasz mu w tej pracy? — spytała.

— Niech mnie patron mój strzeże od takiej pracy.

— Musi być bardzo trudna.

— Jak każda nowa budowa.

— Ciekawam?

— Obowiązek.

— Myślę, że pan Szwarc wszystko na tym gruncie buduje.

— Tym razem trudniej mu przyjdzie, niż kiedyindziej... Ale otóż i ktoś nadchodzi, to kuzynek pani... Jakiż to rozkoszny chłopiec!

Pan Pelski wszedł do salonu, wkrótce za nim nadeszła i pani Wizbergowa.

Po zwykłych powitaniach rozmowa zaczęła krążyć w oceanie ogólników.

Augustynowicz mało mieszał się do niej. Siadł na fotelu i przymknął oczy z wyrazem obojętnym na wszystko. Miewał zwyczaj przymykać oczy, robiąc postrzeżenia, wtedy nic nie uszło jego uwagi.

Hrabia Pelski — zapomnieliśmy powiedzieć, iż miał ten tytuł — siedział przy Luli, kręcąc w palcach sznurek od okularów i rozmawiając z nią żywo.

— Aż do przybycia do Kijowa — mówił — nie wiedziałem nic o nieszczęściu, jakie spotkało całą naszą rodzinę, a w szczególności panią, przez śmierć szanownego jej ojca.

— Czy pan znał ojca mego? — pytała z westchnieniem Lula.

— Nie, kuzynko. Wiedziałem tylko o nieszczęśliwych sporach i procesach, różniących od lat kilkunastu nasze rodziny. Sporom tym jako maloletni, a potem nieobecny, zawsze byłem obcy i, jeżeli mam wyznać, przyjazd mój teraźniejszy miał być tylko próbą zbliżenia.

— W jakim stopniu pan był krewnym ojca mego?

— Wychowany za granicą, mało wogóle znam stosunki familijne, w istocie np. szczęśliwemu wypadkowi winienem odkrycie, nie już pokrewieństwa o którem wiedziałem, ale innych niemniej ścisłych węzłów, łączących od dawna nasze rodziny.

— Wolno się spytać o ten wypadek.

— Z chęcią, kuzynko. Objąwszy po śmierci ojca kierunek spraw majątkowych i familijnych, rozpatrywałem się trochę w papierach i rozmaitych dokumentach, tyczących mojej rodziny; otóż z tych dokumentów odkryłem, że rodzina pani nietylko jest spokrewniona z Pelskiemi, ale i jednego z nimi herbu.

— Do pewnego więc stopnia, trafowi zawdzięczamy naszą znajomość.

— Błogosławię ten traf, kuzynko.

Lula spuściła oczy; mała jej rączka kręciła koniec szarfy; po chwili podniosła głowę.

— I dla mnie on równie miły — odrzekła.

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień uśmiechu.

— Dużo miałem trudności z odszukaniem mieszkania pani. Ten pan — Pelski wskazał jednem okiem Augustynowicza — ma dziwny sposób objaśniania pytających; szczęściem, nadszedł towarzysz jego, Szwarc, który wreszcie dał mi odpowiedź.

— Rzeczywiście mieszkałam w tym samym domu, co i oni.

— Jakimże sposobem poznałaś ich, kuzynko?

— Kiedy ojciec zachorował, pan Szwarc pilnował go w ostatnich chwilach, potem to on wynalazł panią Wizberg i... jam mu wiele winna.

Przymknięte powieki Augustynowicza uchyliły się nieco, wyraz szyderstwa znikł z jego twarzy.

— To doktór? — spytał hrabia.

— Będzie wkrótce doktorem.

Pełski zamyślił się cokolwiek.

— Znałem za granicą w Heidelbergu profesora i literata Szwarca; z jakich ten Szwarców?

Hrabianka zarumieniła się mocno.

— O, tego to nie wiem doprawdy!

Oczy Augustynowicza otworzyły się na całą szerokość; z nieopisanym wyrazem złośliwości szwrócił się ku hrabiance.

— Sądziłem — rzekł głośno — że pani doskonale wiesz, skąd Szwarc jest i z jakich to Szwarców?

Pomieszanie Luli doszło do najwyższego stopnia.

— Nie... pamiętam — wyjąkała.

— Nie? Więc jej przypomnę: Szwarc rodził się w Zwinogródce, gdzie ojciec jego był za dni swoich kowalem.

Pełski spojrzał na kuzynkę i, nachyliwszy się ku niej, rzekł ze współczuciem:

— Boleję kuzynko nad fatalizmem, który zmusił ją żyć z ludźmi odmiennej sfery.

Lula westchnęła. O, niedobre, niedobre to było westchnienie; Lula wiedziała, że u tych ludzi odmiennej sfery znalazła pomoc, opiekę i serce, że przeto powinni być dla niej czemś więcej, niż nowo poznany kuzynek, ale wstydziła się powiedzieć mu to i zamilkła trochę zła a trochę rozżalona.

Tymczasem pani Wizbergowa poprosiła gości na herbatę. Lula pobiegła na chwilę do swego pokoju i, siadłszy na łóżeczku, zakryła twarz rękoma. Była w tej chwili myślą w pokoju Szwarca. »On tam pracuje — myślała — a tu mówią o nim, jak o kimś obcym dla mnie; dlaczego ten powiedział, że on jest synem kowala?« Zdawało jej się, że krzywdzą Szwarca, ale i sama czuła doń jakby urazę za to, że był synem kowala.

Przy herbacie siadła obok swego kuzyna trochę zamyślona, trochę smutna, zwracając niespokojne spojrzenia w stronę Augustynowicza, który od chwili swej złośliwej interwencyi przejmował ją pewną obawą.

— Jakoś nie swoja jesteś, Lulu? — pytała pani Wizbergowa, przykładając rękę do jej rozpalonego czoła.

Malinka, która stała z imbrykiem w dłoni,

nalewając pod światło herbatę, zatrzymała złotawy strumień i, zwróciwszy głowę, rzekła z uśmiechem:

— Lula zamyślona tylko. Budzę cię Lulu, w kolorze czarnym, czy kochasz?

Hrabianka zrozumiała myśl Malinki, nie zmieszała się jednak.

— Czarny kolor, to kolor smutku, w każdym razie to mój kolor.

— I piękny, jak twoje słowo, kuzynko! — dodał Pelski.

Po herbacie siadła do fortepianu, a z za pulpitu widać było jej piękne czoło, oznaczone regularnemi brwiami. Grała jakiś smętny mazurek Szopena, a z twarzy jej nie schodziła tęsknota i niepokój.

Augustynowicz znał muzykę i z tonów odgadł stan duszy hrabianki, mimo to pomyślał:

— Tęskni, więc gra, a gra, bo kuzynek słucha.

Wracając do domu, rozmyślał jednak dłużej o Luli i o Szwarcu, niżby po jego lekkomyślnej naturze należało się spodziewać.

— E, do szatana! co to będzie? co to będzie? — pomrukiwał z cicha.

Wśród tych rozmyślań wszedł do mieszkania. Szwarc jeszcze nie spał, siedział podparty na łokciach nad jakąś książką.

— Byłeś u pani Wizbergowej?

— Byłem.

Niecierpliwość w połączeniu z ciekawością drgała na twarzy Szwarca, widocznie chciał rozpytywać się o wieczór, ale rozmyśliwszy się podparł znów głowę rękoma i jął czytać.

Nagle jednak rzucił książkę i przeszedł się parę razy po izbie.

— Byłeś tedy u pani Wizbergowej.

— Byłem.

— Ha!...

— No, co?

— Nic.

Siadł znów do książki.

---

## XV.

Upłynęło parę tygodni. Stosunki znanych nam osób nie ulegały zmianie; Szwarc nie bywał u pani Wizbergowej, za to Pelski stał się tam codziennym gościem, mimo Augustynowicza, który mu dokuczał i którego hrabia nie cierpiał.

— Jakże ci się wydaje kuzynek hrabianki? — pytał go kiedyś Szwarc.

— Przyjacielu, to jest zero.

— Cóż mu zarzucasz?

— Nic, co znaczy właśnie głupotę. Rozmawia z pannami o czem może, nosi modne surduty, glansowane rękawiczki, wiąże symetrycznie kokardę swego krawata, wychwala cnotę,

gani występek, mówi, że lepiej być mądrym, niż nie, a jednak... o, Szwarc, to zero!

— Ryczałtowo ludzi sądzisz.

— Co znowu, ryczałtowo! Jak ci wiadomo, pierś wedle miary krawca, nie Fidyasza; a w dalszym ciągu śmiech mnie bierze, ale serce mi nie pęka, miałoby też o co pękać!

— Mów-no jaśniej.

— Cóż ci powiem? Ot, człek mierny, człek środka, tylko nie złotego, uczciwy, bo nie popełnił nic nieuczciwego i odwrotnie. A dajże mi z nim pokój! Mówmy lepiej o filozofii, albo śpiewajmy stare kontredanse, co wolisz?

— Mówmy o nim, proszę cię o to — rzekł z naciskiem Szwarc.

— No, to nałóż mi fajkę.

Szwarc nałożył mu fajkę, sam zapalił cygaro i jął przechadzać się po pokoju.

— Nie zdaję ci sprawy z tych tam wieczorów, bo nie chcę ciebie drażnić — mówił Augustynowicz — ale kiedy sam tego pragniesz, to słuchaj. Rzecz jest taka: Dowiedział się Pelski, że po starym hrabi została córka, a ciekawość go przywiodła do zobaczenia jej. Widzisz, ludzie są próżni, lubią efekta, a w roli bogatego kuzyna względem biednej kuzynki nie zbywa na nich, to też Pelskiemu podobała się ta rola. Ha, komużby się ta rola nie podobała? Jesteś bogaty, a podajesz jej — to jest kuzynce — rękę, osłaniasz przemożną opieką, dziwisz ją de-

likatnością uczucia, postępków, stajesz się królewiczem, ideałem; ech, stary! jakże to łechce próżność, jakie to romansowe, niech mnie szatan!...

Rży mój kary, ziemię grzebie!...

To cała powieść: Koń, postać szlachetna, z jej strony łzy i uśmiechy, potem los ich rozłącza, potem się spotykają... godzą... i... Numa idzie za Pompiliusza!

Ostatnie słowa Augustynowicz wymówił z pewną złością.

— Mówisz o Luli i Pełskim? — pytał ponuro Szwarc.

— Tak jest; Pełski zobaczył ją przez ciekawość, a ona, jak wiesz, śliczna dziewczyna, to też rola podobała mu się. Pełski człek powszedni, arystokrata... jednem słowem, zero... ale... jeśli nie będzie zważał na posag...

— Ba, jeśli? — przerwał Szwarc, podchwytując ostatnie słowo.

— A ty czego się łudzisz? Tobie to winno być wszystko jedno, tyś nie dziecię, ani niewiasta; wiedziałeś, coś robił, idąc do Heleny w oświadczyny!

Szwarc zamilkł; Augustynowicz ciągnął dalej:

— Mówię! Pelski człowiek młody i bogaty, ona mu się bardzo podoba, to może i nie zważać na posag, ona mu się podoba, to grunt!

— Przypuśćmy, że nie będzie zważał na posag, dalej?

— W takim razie Lula zostanie Pelską.

— Zgodzi się, mówisz, na to?

Oczy Szwarca płonęły.

— Słuchaj, stary, ja mówię: nie wiem, do czego ta rozmowa. Dziśby się może nie zgodziła... ale za pół roku lub rok to się zgodzi. Gdybyś tam bywał, mógłbyś z nim walczyć, inaczej, powtarzam, ona się zgodzi.

— Na czem opierasz ten sąd?

— Na czem? Pewnego wieczoru, kiedym tam widział Pelskiego, słyszę, a on się pyta: co to za Szwarc? z jakich to Szwarców? A ona: »Nie wiem, doprawdy«. Widzisz! a kiedym powiedział, żeś syn kowala, ona stanęła w płomieniach i o mało się nie rozpłakała ze złości na mnie. Ot, masz!

Szwarc także czuł w tej chwili, jakby ochotę do płaczu ze złości.

— Widzisz — prawił Augustynowicz — Pelski bez świadomości i woli postępuje bardzo trafnie; on jej ciągle przypomina dawne tytuły, świetną przeszłość, świetne stosunki, po prostu nie może nawet inaczej... A ona i bez tego arystokratka! Pamiętasz, jak to gniewało ongi mnie i ciebie? A ileś się to napracował, żeby te zasady w niej zachwiać! Na krokodyla, niemasz nic dumniejszego, niż nędza dumna! Pelski dobrze robi, bo łechce jej próżność, bo rozbudza miłość własną — to oddala ją od nas, a my

mój stary, tacy hrabiowie, jak... bez porównań, do szatana! bo i nie znajdę tu porównań.

Jakoż nie znalazł porównań, i w braku ich zaczął puszczać rzęsiste kółka z dymu, usilnie starając się uchwycić którekolwiek na palec. Szwarc tymczasem zawzięcie patrzał w jeden punkt na podłodze, wreszcie odezwał się:

— Powiedziałeś jej, że się żenię z Heleną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mówię, że pracujesz i dlatego nie przychodzisz. Niech sprawa między tobą i Pelskim rozegra się w niej samej, w jej sumieniu i sercu. Twoje małżeństwo to wypadek zewnętrzny, a stanowczo decydujący na jego stronę.

Szwarc zbliżył się, jego palce wpiły się w ramię Augustynowicza.

— Słuchaj — rzekł gwałtownie — a jeśli w tej walce ja wygram?

— Idź do dyabla i nie ściskaj mnie tak silnie! Rzucam tobie toż samo pytanie: Jeśli w tej walce wygrasz?

Spojrzeli sobie oko w oko, jakieś nieprzyjazne uczucie ścisnęło im serca.

Wreszcie Szwarc puścił ramię Augustynowicza i ukrywszy twarz w dłoniach, rzucił się na łóżko. Augustynowicz spojrzał nań groźnie, potem mniej groźnie i jeszcze mniej groźnie; nakoniec przysunął się doń, zaglądając mu pod palce.

Pociągnął go za połę, a głos jego był już miękki i wzruszony.

— Stary!

Szwarc się nie odzywał.

— Mój stary, nie gniewaj się. Jeśli wygrasz, schowasz ją w sercu jak świętą, a ja jej powiem: Idź, jasny aniele drogą obowiązku, jak Szwarc poszedł.

---

## XVI.

Helena zaledwie sama wierzyła swemu szczęściu. Gotowała się do ślubu. Chmurna jej przeszłość znikła, noc życia była skończona, świtał ranek.

Z kobiety, gwiazdy błędnej, która nie wiedzieć gdzie i jak nizko upadnie, z kobiety tułaczki, z kobiety bez jutra, wejść w nowy okres życia, pozyskać miłość kochanego człowieka, zostać w przyszłości żoną, rozpocząć życie ciche, życie jutra, okolone szacunkiem, zapełnione miłością i obowiązkiem — oto miała być jej przyszłość.

Helena rozumiała, a raczej przeczuwała ową anormalność między swą przyszłością a przeszłością. «Z takiego życia, jak moje, to chyba nie to wyniknąć powinno; jam niewarta szczęścia, szeptała zcicha do Szwarca, gdy jej na palec

wkładał zaręczynowy pierścionek. — Jam niewarta takiego szczęścia».

Miała racyę ta opętana przez miłość półwaryatka.

Z logiki jej życia nie mogła taka przyszłość wykwitnąć, ale życie jej przestało już iść własnym biegiem.

Bywają gwiazdy, które w samotniach krążą po nieokreślonych drogach, aż porwane przez potężniejszą planetę, idą już dalej koło niej lub z nią.

Coś podobnego przytrafiło się Helenie.

Potężniejsza wola przyciągnęła słabszą. Helena spotkała na drodze swej Szwarca i odtąd szła już jego koleją.

Zrozumienie tego czyniło ją spokojniejszą. «O, jeśli on zechce, będę szczęśliwa!» — myślała nieraz.

Wierzyła bez granic nietylko w charakter, ale i w potęgę Szwarca.

Znikł więc ostatni cień w jej duszy — znikła niespokojność, owa nieokreślona obawa przyszłości, której aż do chwili oświadczyn Szwarca nie mogła się opędzić, a która dręczyła ją jak wyrzut sumienia.

Marzyła. Z pieśnią na ustach czyniła przygotowania do ślubu, ciesząc się jak dziecko każdym szczegółem ubioru. Chciała mieć mimo swego wdowieństwa białą suknię, co i Szwarcowi podobało się. Odzyskując humor, odzyskiwała i zdrowie; stawała się czynną, zabiegłą,

drobiazgowo nawet troskliwą o przyszłe gospodarstwo.

Wypiękniała jeszcze i wyszlachetniała jakoś pod wpływem szczęścia. Z kobiety odludka, z ptaka o poobrywanych skrzydłach, jęła się zmieniać w kobietę, czującą własną wartość, choćby w tem, że ją ktoś kocha.

Termin ślubu przybliżał się.

* * *

Tymczasem zbliżała się chwila, w której Szwarc miał zostać doktorem. Pracował więc, a pracował tak usilnie, że zachwiał cokolwiek własne zdrowie. Bezsenne noce i wysilenia umysłu naznaczyły mu twarz bladością; wychudł, oczy miał podsiniałe; żył w ciągłej owej gorączce pracy, w rzeczywistości opadał z sił, ale trzymał się jak mógł na nogach, chcąc za jaką bądź cenę zdobyć koniecznie stanowisko i niezależną przyszłość.

Prócz ambicyi i blizkiego terminu ślubu, jeszcze jedna rzecz skłaniała go do tych wysileń. Zapasy jakie przywiózł z domu, wyczerpywały się zwolna i obecnie blizkie były końca. Teraz już na Augustynowiczu spoczywał ciężar wydatków i domowego gospodarstwa. Augustynowicz wyrzekł się pijatyki, a zarabiał znacznie więcej, niż Szwarc. Lekcye muzyki przynosiły mu stosunkowo bardzo wiele, a nie potrzebował się ich wyrzekać dla nawału innej pracy, wro-

dzone bowiem zdolności zastępowały mu aż nadto czas i ochotę.

Do pani Wizbergowej chodził, jak dawniej, codziennie; codziennie Malinka wybiegała mu otwierać i codzień niby wydzierała mu swe rączki, które miał zwyczaj obfitymi okrywać całusami. Poczciwa dziewczyna przywiązała się do niego. Czy on ją kochał? Prędzej nie, niż tak, bo przeszłość wygasiła w nim sympatyczne moce. W rzeczywistości nie miał za grosz ognia. Gdyby jego zdolności zagrzewała namiętność, zaprowadziłyby go daleko, ale światło ich było jak księżycowe, świeciło nie grzejąc.

Nie przeszkadzało mu to być, jak to mówią, wybornym chłopcem, doskonałym kolegą i wesołym towarzyszem. Jeżeli czuł jakie przywiązanie, to chyba do Szwarca. Miewał jednak swe sympatye i antypatye: lubił Malinkę, a nie lubił Luli.

I za co jej nie lubił? Różne były powody. Traktowała go zawsze z chłodną wyższością, a przytem była hrabianką. Zwykle zresztą miewał powodzenie u kobiet, zawdzięczał je niewyczerpanej wesołości, a nawet cynizmowi, który pozwalał mu być wszędzie, jak u siebie, miał przytem szczególniejszą zdolność stosowania się do towarzystwa, w którem przebywał. Nigdy nieogładzany, posiadał — gdy chciał — wysoką ogładę towarzyską. Sam zwykł był mawiać, że owa łatwość dystynkcyi jest w nim dziedziczną,

że to idzie z «zacnej krwi». Rodziców wprawdzie nie znał nigdy, ani wiedział, kto oni, niemniej sądził się być potomkiem znakomitego rodu. Przypuszczał nawet, wedle znanego żartu, że Letycya, babka Napoleona III-go i jego babka — to były dwie babki. W ten sposób udowadniał swe pokrewieństwo z Bonapartemi.

Mimo tych wszelkich przymiotów, Lula ignorowała go cokolwiek. Więcej niż owa lekkomyślna, elastyczna natura budził w niej interesu żelazny, jednolity charakter Szwarca. Zresztą kochała Szwarca, Augustynowicz więc z natury rzeczy pozostał na boku. Drażniło go to jednak. Tak się rzeczy miały aż do chwili zjawienia się Pelskiego. Odtąd, zwłaszcza gdy Szwarc przestał bywać, zmieniła się Lula nadzwyczajnie. Augustynowicz dokuczał jej, sądził bowiem rzeczy przez pryzmat własnej dla niej niechęci. Myślał, że jeśli kiedy, to teraz będzie mu okazywała lekceważenie, a nawet pogardę, tymczasem stało się inaczej. Lula wyszła z roli obojętności i zaczęła się go obawiać. «Dzięki bogom — myślał wówczas Augustynowicz — człowiek ma język dosyć obrotny. Boi się, żebym Pelskiego nie wystrychnął na dudka». Jakoż coś podobnego zdarzyło się kilkakrotnie, co, należy wyznać, nader przykro dotknęło Lulę. Nieraz z początku rozpytywała o Szwarca, ale zawsze jednakową odbierając odpowiedź: «pracuje» — przestała nakoniec. Niemniej zdawało się, że chce przeje-

dnać Augustynowicza, w postępowaniu jej z nim była teraz jakaś miękkość, połączona z cichym smutkiem. Nieraz śledziła go niespokojnie oczyma, gdy wchodził, jakby czekając od niego jakiejś wiadomości dla siebie. Niepokój ten był naturalnym. Czy kochała Szwarca, czy nie, nie mogło jej nie dziwić, że ten, na którego tyle liczyła, który tyle sympatyi okazywał jej zawsze teraz jakby zapomniał o niej. Nie mogła także poprzestać na odpowiedzi Augustynowicza. Mimo największej pracy, niepodobna było, by Szwarc nie znalazł w ciągu dwóch przeszło miesięcy ani minuty czasu, by ją choć zobaczyć, by spytać o jej zdrowie, tembardziej, że wiedziała, iż ją kochał. W myśli jej dziwnie plątało się przybycie Pełskiego i niebywanie Szwarca; mogła słusznie przypuszczać, że jest w tem pewny związek. Jeden Augustynowicz mógł te rzeczy objaśnić, ale Augustynowicz nie chciał.

Niespokojna tedy, rozdrażniona i stroskana, ciągniona przez Pełskiego w krainy świetnych marzeń o wspaniałej przyszłości, o bogactwie, komforcie, sługach i cugach; z drugiej biegła myślą do ubogiego pokoiku Szwarca, pytając pełna trwogi: czemu go niema?

A jego nie było. Pełski coraz wyraźniej występował jako konkurent. Lula, posądzająca Szwarca o obojętność, rozdrażniona i upokorzona przezeń, gotowa była bodaj przez zemstę oddać rękę Pełskiemu. Zresztą, tradycya ciągnęła ją

w jego stronę; kto miał zwyciężyć — łatwo było przewidzieć.

Pełski, o ile mógł, starał się rozpraszać chmurki na czole Luli, i częstokroć udawało mu się to nawet. Lula miewała od czasu do czasu dziwne napady wesołości. Śmiała się wówczas i sypała tysiącami mniej więcej dowcipnych słówek, a lubo w tej wesołości była pewna gorączka, było zaiste i niemało kokieteryi. Oczy jej płonęły w takich razach, od skroni szła atmosfera gorąca, usta igrały wabnym uśmiechem. Słowa kaleczyły i głaskały, ciągnęły i odpychały naprzemian. Pełski zwykle, a po kilku niefortunnych próbach z Augustynowiczem, Pełski jedynie padał ofiarą takich wybryków. Tracił wówczas głowę, a z roli kuzyna-opiekuna przechodził na kuzyna-niewolnika.

A im był pokorniejszy, tem ona była zuchwalszą; im był smutniejszy, tem bywała weselszą.

— Panno Malinko! — szeptał w takich razach Augustynowicz — nie bądź pani nigdy do niej podobną, to kokietka!

— Nie! — odpowiadała smutno Malinka: — Przypomnę panu te słowa.

I trudno zaiste rzec, coby powiedział Augustynowicz, gdyby po takim wieczorze widział, jak ta przed chwilą kokietka, zostawszy sama w swoim pokoju, łkała tak, że długie, długie godziny utulić jej nie mogły.

Biedna dziewczyna, nie mogła nawet przed nikim wyspowiadać się ze swoich zmartwień i ciężkiej walki, jaką toczyła sama z sobą.

Płakała w chwilach słabości. Ile w tych łzach było zranionej miłości własnej, ile szczerego żalu po Szwarcu, trudno było powiedzieć. Dawniej, objąwszy rękoma szyję dobrej Malinki, byłaby wyznała wszystko, co jej przygniatało duszę, ale dziś i Malinka była dla niej obcą, a przynajmniej nie tyle blizką, co ongi. Właśnie owe niefortunne próby kokieteryi z Augustynowiczem głęboko obrażały rozkochaną w nim dziewczynę, a przytem i stosunek Luli do Pełskiego wydawał się jej dziwacznym.

Tymczasem czas płynął, Lula zaczynała wątpić, czy Szwarc kochał ją kiedykolwiek, Pełski nieznacznie karmił ją myślą przyszłego komfortu; czas płynął — a czas, to wedle słów poety: «róż kwitnących przemierzły ogrodnik»

---

## XVII.

Malinka nieraz próbowała dowiedzieć się od Augustynowicza o istotnych powodach nieobecności Szwarca.

— Po co jej wiązać ręce? — mówiła o Luli.

Augustynowicz zaręczał, że jej rąk nie chce wiązać, w rezultacie jednak milczał lub kłamał.

Z drugiej strony Szwarc był przekonany, że Lula już wie o wszystkiem.

— Powiedziałem jej wszystko! — mówił Augustynowicz.

— A ona? nie ukrywaj mi!

— Szwarc?

— Co?

— Co ci do tego?

Szwarc zacisnął zęby, ale nie pytał więcej. Wstydził się. Sam przed sobą wyznawał, że owe pytania były folgą dawaną słabości i dawnemu uczuciu.

Z przerażeniem prawie spostrzegał, że czas nie przynosił mu ulgi. Och, miewał takie chwile, że chciałby rzucić i Helenę, i obowiązki, i sumienie, a pójść i sprzedać nawet honor, nawet resztki szacunku dla siebie, za jedną chwilę, w którejby mógł głowę oprzeć na ramieniu hrabianki.

Nie umiał się oprzeć rozpamiętywaniu o niej.

Dotychczas zwyciężał, a jednak pamiętał, że bywał dawniej innym, niż dzisiaj.

Dawniej charakter jego miał ową spokojną, pokrywającą wszystko głębokość, dziś kipiał. Od namiętnych wybuchów przechodził nieraz do melancholii i biernego sentymentalizmu, a pamiętał, jak ongi wydrwiwał go w innych, jak szydził bez miłosierdzia, jak nawet pogardzał sentymentalizmem.

Wpadał weń jednak. Tracił szacunek dla siebie, ale bywał chwilami sentymentalny.

Augustynowicz wiedział o tem najlepiej.

Pewnego razu — a było to w miesiąc jakoś po zerwaniu z Lulą — Augustynowicz, zbudziwszy się późną nocą, ujrzał Szwarca, ubranego jeszcze i siedzącego niby nad książką. Zegar w ciszy nocnej gorliwie opowiadał o uciekających minutach; lampa paliła się jasnem, wesolem światłem, a przy blasku jej wyraźnie rysowały się rudawe bokobrody i blada twarz Szwarca na czarnym pokrowcu fotela. Siedział z pochyloną w tył głową i z przymkniętemi oczyma, ale nie spał; wzniesione brwi i kolory, bijące mu na twarz, świadczyły o tem najlepiej. Twarz jego nosiła wyraz niewysłowionej błogości; jakieś marzenie, jak złoty motyl, siedziało mu na mózgu, roztapiając w mglistą miękkość ostre linie jego rysów.

Augustynowicz spojrzał na niego uważnie, poczem zcicha podniósł się na łóżku z obliczem pełnem oburzenia i gniewu.

— Co ten robi? — szepnął. — A, ty się już sam oszukujesz! Niech mnie powieszą, jeżeli mu nie cisnę na głowę poduszki. A to mazgaj! Tak jest, cisnę poduszkę, lampę stłukę... hi!

Jakoż, ukończywszy za chwilę przygotowania wojenne, zabierał się do zadania tem straszliwego ciosu, gdy nagle cofnął się pod kołdrę.

Szwarc otworzył oczy.

— Ciekawym, co to będzie? — mruknął Augustynowicz, udając, że śpi jak zabity.

Tymczasem zdziwienie jego rosło nie na żarty. Szwarc spojrzał nań podejrzliwie, poczem jak złoczyńca obejrzał się wokoło, wreszcie odsunąwszy szufladę stolika, począł w niej szukać jakiegoś przedmiotu.

— Hej, czy tylko nie zechce w łeb sobie strzelić lub się otruć? — pomyślał cokolwiek przestraszony Augustynowicz.

Ale Szwarc nie myślał ani się zabijać, ani truć. Przedmiot, który wydobył, była to po prostu rękawiczka. Jedna mała, wyżółkła i pokurczona rękawiczka, mizerna pamiątka, historyczny podarunek, przy którym się mówi: «Adio, adio! caro mio! Pamiętaj!» A jednak Szwarc, jak ongi Emrod, poszedłby po nią «między tygrysa i między dwa lamparty» — tylko kwestya, czyby potem odszedł i więcej nie wrócił. Na punktach głupoty, schodzą się częściej wieki niż w rozsądku.

Szwarc podniósł tę rękawiczkę do ust.

— Wsty-y-dź się, stary! — ryknął Augustynowicz.

Istotnie było coś w tem upokarzającego i Szwarc bardzo się potem wstydził swego postępku. Nazajutrz wyszedł do dnia, by uniknąć Augustynowicza, który zresztą na seryo był oburzony i rozgniewany. Zdawało mu się, że się zawiódł na Szwarcu: «I ten mazgaj, jak i dru-

dzy!» — mówił. Myśl ta zrodziła w nim niesmak, jaki zwykle czujemy, zaczynając tracić szacunek do człowieka, którego szanowaliśmy dotąd.

Ważniejszem atoli było, że po owym wypadku Augustynowicz nabrał przekonania, że Szwarc wróci do Luli. «Ta sobie umrze lub oszaleje — mówił o Potkańskiej — a oni się pobiorą... E, niech sobie umrze — Augustynowicz zawsze starał się wmówić w siebie, że nie lubi kobiet — mniej będzie o jedną. Wróci Szwarc, wróci!»

Rozmyślał tedy, czy powiedzieć Luli, że Szwarc się żeni, czy nie? wkońcu postanowił milczeć.

— A mnie Helena nic nie obchodzi... Szwarc wróci do Luli, a jeśli jej powiem wszystko, to będzie za późno — to będzie za póź-no! o, ho, ho! Ale i Helena na tem zarobi, bo znów będzie za późno. Tak, tak: jednego nie naprawię, a drugie zepsuję. Będę milczał... będę milczał...

Augustynowicz sto razy wolał Helenę, niż Lulę i z duszy chciałby, żeby Szwarc ożenił się z Heleną, ale chodziło mu więcej o Szwarca, niż o obie razem, dlatego Lulę chciał mieć wolną «na wszelki wypadek». Zresztą sądził, że i tak Lula wybierze Pełskiego. Wtedy powiem staremu:

— Widzisz, nic nie mówiłem o Helenie, nic nie wiedziała, że jej nie kochasz, a swoją drogą poszła za Pełskiego.

Nakoniec troskliwie chował wieść o małżeń-

stwie Szwarca na wypadek, gdyby Lula, śmiejąca się i szczęśliwa, przed jego przypuszczalnym powrotem, oddała rękę Pelskiemu:

— Szwarc życzy pani szczęścia — rzeknę. — Crescite et multiplicamini! — rzeknę. — On dawno już narzeczony, kocha i jest kochany, do dyabla!

---

## XVIII.

Płynęły jednak dni, a Szwarc nie wracał do Luli. Malinka za to powiedziała Augustynowiczowi:

— Pelski lada dzień oświadczy się o Lulę.

— A jeśli nie on o nią, to ona mu się oświadczy lada dzień... — wymówił z przyciskiem Augustynowicz.

— O, to niesprawiedliwie, niesprawiedliwie!

— Zobaczymy.

— Nie, panie Adamie, Lula ma dużo dumy kobiecej, i gdyby nawet poszła za Pelskiego, to tylko przez ową dumę, przez gniew na obojętność Szwarca. Zresztą, co prawda, jej nikt prócz niego nie kocha... z wszystkich panów on jeden jej pozostał, na kogóż może liczyć.

— Ha, a widocznie lubi liczyć?

Malinka rozgniewała się.

— Liczyła w swoim czasie na Szwarca... zawiodła się. Jakże można ją potępiać, kiedy jego niema? czy pan rozumie? niema!

Augustynowicz milczał.

— Boleśnie się zawiodła — mówiła dalej Malinka — i niech mi pan wierzy, ja jedna wiem, ile ją to kosztuje. Mimo, że już nie przyjaźnimy się tyle, co dawniej — sama mnie odsunęła — mimo tego, jednak nieraz widzę jak cierpi. Wczoraj weszłam do jej pokoju i zastałam ją we łzach. «Lulu — pytam, mimo że odsunęła się odemnie — co tobie jest?» «Nic, cierpię ból głowy» — powiada. «Lulu moja — mówię — ty na serce cierpisz, nie na głowę!» Chciałam się jej rzucić na szyję, ale odsunęła mnie ręką, a potem wstała taka dumna, żem się jej przelękła. Łzy jej oschły. «Płakałam ze wstydu — rzekła z mocą. — Chciej mnie zrozumieć: ze wstydu!» Chciałam ją zrozumieć, alem nie mogła; tylko wiem, że wieczorem tego dnia znów ją widziałam we łzach. A widzi pan?

— Czegóż to wszystko dowodzi?

— Że jej niełatwo zrzec się myśli o Szwarcu. Co tam zaszło? co tam zaszło, że jego niema?

— A gdyby był?

— Nie poszłaby za Pelskiego!

— Żartuję sobie z tego «nie poszłaby».

— Bo pan ze wszystkiego żartujesz... Ale Szwarc? Czy to szlachetnie z jego strony tak ją opuścić?

— Kto go tam wie, co on myśli robić?

Malinka odpowiedziała z mocą:

— On sam powinien wiedzieć i cokolwiek zamierza, nie ukrywać tego przed nią.

— On nie ma czasu, pracuje.

Tegoż dnia Malinka przekonała się jednak, że Szwarc nie siedzi tak pilnie w domu, jak o tem rozpowiadał Augustynowicz. Wyszedłszy z matką na ulicę, spotkała go idącego z jakimś młodym człowiekiem. Nie spostrzegł ich, Malinka prawie przeraziła się jego widokiem. Wydawał się jej tak blady, tak przygnębiony, jakby po ciężkiej chorobie. «Więc on był chory!» — myślała, wróciwszy do domu. Teraz zrozumiała, dlaczego Augustynowicz nie chciał wytłumaczyć jego nieobecności: «Szwarc mu nie kazał, by nie przerażać Luli».

Szwarc nagle wyrósł w mniemaniu Malinki do wysokości ideału.

Wieczorem, jak zwykle, zjawił się Augustynowicz. W salonie tym razem była pani Wizbergowa i hrabianka.

— Panie Adamie! — zawołała Malinka — wiem już, dlaczego pan Józef nie był u nas tak dawno.

Oczy Luli błysnęły; w tej chwili zapanowała nad sobą, ręce jej jednak drżały nieznacznie.

Ależ on biedak musiał być bardzo chory? taki blady, jak z grobu! Dlaczego pan nie po-

wiedziałeś nam o tem? — mówiła szybko pani Wizbergowa.

— O, pan Adam bał się, żebyśmy nie wygadały się przed Lulą. Ładnie to? — pytała Malinka.

— Co tobie, Lulu, tyś chora?

— Nic, nic! wrócę za chwilkę.

Twarz jej była bledziuchna, w głosie brakło tchu. Wyszła, prawie uciekła do swego pokoiku.

Pani Wizbergowa chciała biedz za nią, Malinka łagodnie lecz stanowczo zatrzymała ją.

— Nie trzeba tam chodzić, mameczko.

Potem zwróciła się do Augustynowicza, a głos jej dźwięczał poważnie i smutno.

— Panie Adamie?

Augustynowicz zaciął wargi.

— Panie Adamie! cóż? Lula to kokietka, bez serca... nieprawdaż?

— Możem się omylił — bąkał Augustynowicz — ale... ale...

Nie śmiał wykrztusić z siebie w tej chwili, że Szwarc się żeni z Heleną, że Szwarc nie przyjdzie więcej.

Wróciwszy do domu, bał się także powiedzieć Szwarcowi o tem, co zaszło.

Lula zamknęła się w swoim pokoju. Głowa jej płonęła, a myśli niby wianek z iskier i lodu obsiadły jej skronie; w ciszy słychać było wyraźnie jej przyspieszony oddech i bicie serca. Szwarc, Pelski, Malinka, Augustynowicz, kręcili

się przed nią w niepojętym zamęcie, a z tych rozkruchów myśli, jak z grobu, podnosiła się wyżej i wyżej, blada i z przymkniętemi oczyma, prawie martwa głowa Szwarca. «On chory, chory!» — powtarzała półgłosem. «I umrze, i nie przyjdzie już tutaj!» Biedna Lula jeszcze inaczej niż Malinka tłumaczyła sobie powody nieobecności Szwarca. Sądziła, że poświęcił się dla niej, że, nie chcąc stawać między nią a Pelskim, zrzekł się jej, i dlatego tak cierpi i choruje. A jednak kto mu powiedział, że z Pelskim będę szczęśliwszą?» — szeptała zcicha. «Nie ufał mi... Boże mój! Boże! a czy mógł ufać?» Pamięć stawiła przed nią, jak wyrzut, owe chwile błyszczących spojrzeń, wabnych i aksamitnych słówek dla Pelskiego; wspomniała i ów rumieniec wstydu, jakim splonęła, gdy Pelski dowiedział się, że Szwarc jest synem kowala. I teraz twarz płonącą ukryła w dłonie, ale był to już inny wstyd. Zdawało jej się w tej chwili, że choćby sam Szwarc był kowalem, jeszczeby z rozkoszą całowała jego okopcone czoło, jeszczeby pełna szczęścia złożyła główkę na jego dzielnej, choćby kowalskim fartuchem pokrytej, piersi.

— Jak mi w oczach ciemno!... Jam nie wiedziała, że go tak kocham — mówiła cała drżąca i rozpłoniona.

Pierś jej wznosiła się szybko. Znów jakaś rzewniejsza myśl ubrała jej czoło w blaski

anielskie, rzuciła się na kolana przed obrazem Bogarodzicy.

— Matko Boża! — zawołała głośno. — Jeżeli kto ma cierpieć, lub umrzeć, niech ja cierpię, a jego chroń i kochaj Mateczko moja Najświętsza!

Wstała spokojna i tak jasna światłem miłości, że, rzekłbyś, w ciemnym pokoiku świeciła jak srebrna lampka przed obrazem Bogarodzicy.

Przez parę następnych dni Augustynowicz nie pokazywał się wcale; przyszedł za to Pelski i, wedle przewidywań Malinki oświadczył się o rękę Luli. Ujrzawszy twarz kuzynki spokojną i pełną uśmiechu, z dobrą nadzieją wynurzył jej swe życzenia i nadzieje, tem też bolesniej się zdziwił, gdy Lula dała mu stanowczo odmowną odpowiedź.

— Kocham innego! — oto była treść tej odpowiedzi.

Pelski chciał się dowiedzieć, kto był «ten inny»; Lula powiedziała mu bez wahania, poczem — jak zwykle się czyni w takich razach — ofiarowała mu swą przyjaźń.

Ale Pelski nie przyjął ofiarowanej mu na pożegnanie ręki.

— Za wiele mi zabrała, za mało dajesz, kuzynko — szepnął zgnębionym głosem. — Za szczęście całego życia... przyjaźń!

Jednak Lula nie czuła wyrzutów po jego wyjściu; myślała wówczas o czem innem. Bywa

to złą stroną miłości, że nigdy nie myśli o czem innem, tylko o sobie. Wyłącza szczegóły a za to włącza ogół. Czujesz, że gdyby świat był człowiekiem, przycisnąłbyś go do piersi i ucało wał w głowę, jak ojciec.

Coś podobnego czuła Lula, gdy szła do pokoju Malinki po wizycie Pelskiego. Potrzebowała wyznać komuś wszystko, co jej leżało na sercu.

Malinka siedziała przy oknie, a na pociemniałych mrokiem szybach widać było jej łagodną, zamyśloną twarzyczkę. Nagle ręce Luli oplotły się koło jej szyi.

— To ty, Lulu? — spytała cicho.

— Ja, Malinko! — szepnęła Lula.

Siadła na małym stołeczku, u nóg Malinki, głowę położyła na jej kolanach.

— Moja dobra Malinko, ty się już nie gniewasz na mnie, ani pogardzasz mną?

Malinka pieściła ją, jak dziecię.

— Bo widzisz, byłam bardzo grzeszna, ale dziś odszukałam się we własnem sercu. Jak mi tu dobrze przy tobie! Pamiętasz, jak to dawniej długo, długo tak rozmawiałyśmy nieraz! Niech i dziś tak będzie!... dobrze?

Malinka uśmiechnęła się nawpół smutno, nawpół figlarnie i odparła:

— Dziś tak będzie, ale później się zmieni Przyjdzie tu pewien jegomość i zabierże Lulę, a ja zostanę sama.

— A czy przyjdzie? — spytała cichutko Lula.

— Przyjdzie. Biedak on chorował... pewno z tęsknoty. Nie rozumiałam, co znaczyło, że pan Adam nie chciał powiedzieć, dlaczego go niema — teraz rozumiem: Szwarc mu zabronił — nie chciał ciebie przestraszać.

— Ja myślę, że nie chciał przeszkadzać Pełskiemu... Taki niedobry!

A cóż Pełski?

Właśnie miałam ci powiedzieć: oświadczył mi się dzisiaj.

— I cóż?

— Odmówiłam, Malinko.

Chwilę trwało milczenie.

— Nie chciał nawet przyjąć ręki, którą mu podałam na pożegnanie, ale czyż mogłam inaczej uczynić, Malinko? Wiem, że postępowałam z nim bardzo niedobrze, o, bardzo niedobrze! ale czy mogłam zrobić inaczej! Ja go nie kocham.

— Lepiej późno, niż nigdy. Słuchałaś głosu serca. Ty tylko ze Szwarcem możesz być szczęśliwa.

— O tak, tak!

— Za jaki miesiąc — prawiła Malinka — ubierzemy Lulę w białą sukienkę, opłaczemy Lulę panienkę, a będziemy się cieszyli z Lulą mężatką. O, wy będziecie szczęśliwi! Musi on być dobry, kiedy go tak wszyscy szanują.

— Wszyscy go tak szanują? — powtórzyła

Lula, której jednocześnie chciało się śmiać i płakać.

— A tak. Moja mama to się nawet go boi... i ja troszeczkę; ale go poważam za jego charakter.

Lula podłożyła obie ręce pod głowę i ciągle wsparta na kolanach Malinki, patrzała jasnemi od łez oczyma w jej twarz.

A tymczasem ściemniło się do reszty, księżyc zeszedł, psy się uśpiły, — słychać było tylko szepty dwóch rozmarzonych pogadanką panienek.

Nagle przerwał ją dzwonek w przedpokoju.

— Może to on! — zawołała Lula.

Ale to nie był «on», bo w przedpokoju dał się słyszeć głos Augustynowicza.

— Panie są w domu?

— Idź, Lulu, do tamtego pokoju i schowaj się — mówiła szybko Malinka, — ja mu opowiem, jak dałaś odkosza Pelskiemu, i poproszę, żeby to powtórzył Szwarcowi. Zobaczymy, czy nie przyjdzie! Możesz słuchać.

Drzwi się otworzyły, wszedł Augustynowicz.

---

## XIX.

Mówiliśmy, że Augustynowicz bał się wyznać Szwarcowi, co zaszło u pani Wizbergowej. Lula

zawiodła jego oczekiwania: mimo arystokracyi, mimo Pelskiego, kochała jednak młodego doktora, skoro wieść o jego chorobie mogła nią do tego stopnia wstrząsnąć.

Augustynowicz stracił humor i zwykłą sobie swobodę myśli. Mimowoli czuł teraz dla Luli szacunek, a szacunek dla kobiety, e! to było czemś dlań tak obcem, taką dysharmonią w jego moralnym organizmie, że sam z sobą nie mógł trafić do ładu. Miał minę człowieka złapanego na kłamstwie, a kłamstwem tu były jego pojęcia o kobietach. Sposępniał wielce. Raz nawet — rzecz dziwna, a obca dlań lub zapomniana — wyrwały mu się z ust słowa pełne bolesnej goryczy: «Ot, gdyby taka jedna w życiu — mówił — a człowiek nie byłby tem, czem jest». Szwarca unikał, bał się go, wahał się, to chciał mu wyznać wszystko, to znów odkładał do jutra. Sam wreszcie Szwarc zwrócił uwagę na dziwaczność jego postępowania.

— Co tobie jest, Adamie? — spytał.

— A o Lulę to on się już nie może spytać! — zawołał z komiczną rozpaczą Augustynowicz.

Szwarc zerwał się na równe nogi.

— O Lulę? Co to znaczy? Mów!

— Nic nie znaczy, coby miało znaczyć? Czy to wszystko ma zaraz coś znaczyć?

— Augustynowicz, ty coś ukrywasz?

— A on to tylko o Luli myśli! — wołał z coraz większą rozpaczą zapytany.

Szwarc z niesłychanem wysileniem zapanował nad sobą, ale był to ów groźny spokój przed burzą. Zapadłe policzki zbladły mu jeszcze więcej, oczy pałały.

— O, powiem wszystko — wołał, uprzedzając wybuch, Augustynowicz — powiem, powiem! E, kto mi zabroni ci powiedzieć, żeś wygrał sprawę! Niech mnie szatan, jeżeliś nie wygrał! Ona cię kocha.

Szwarc przeciągnął drżącą ręką po spotniałej twarzy.

— Pelski? — spytał krótko.

— Jeszcze się nie oświadczył.

— Ona wie o mnie wszystko?

— Szwarc!

— Mów!

— Ona nic nie wie, ja jej nic nie mówiłem!

Głos Szwarca był głuchy i ochrypły, gdy spytał:

— Dlaczegoś mi taką krzywdę wyrządził?

— Szwarc! ja myślałem, że ty się wrócisz do niej.

Szwarc załamał ręce, aż palce trzeszczały w stawach; ostatnie słowa Augustynowicza padły nań jak zarzewie. Wrócić się do niej, to opuścić Helenę; a czyż to samo sumienie nie broniło sprawy Heleny? Wrócić się do Luli, to kupić szczęście całego życia; ale wrócić się do niej, to zbeszcześcić Helenę, to zabić ją, stać się nikczemnym, to kupić wzgardę u siebie dla

siebie. Niestety, w duszy Szwarca odbywał się ten dyabelski taniec człowieka samego z sobą. Tańcował Szwarc ze Szwarcem przy kapeli namiętności. Różne myśli, zamiary, sposoby wichrzyły mu w piersiach, bój toczył się na całej linii.

Augustynowicz patrzał na towarzysza z twarzą rozpaczliwie głupowatą i miałby, jak to mówią, ochotę porwać się za kołnierz i wyprowadzić za drzwi.

Nagle Szwarc wstał.

Jakieś postanowienie rysowało się na twarzy Sprawa była rozegrana.

— Augustynowicz!

— Ehe?

— Pójdziesz natychmiast do Wizbergowej i powiesz Luli, że się żenię, że za miesiąc mój ślub i że nigdy do niej nie wrócę. Nigdy, rozumiesz?

Augustynowicz zabrał się i poszedł.

Przyjęła go, jak wiemy, Malinka. Lula miała słuchać ich rozmowy za drzwiami.

Malinka, rozmarzona poprzednią pogadanką z Lulą, wesoła i uśmiechnięta, szczerze ścisnęła rękę Augustynowicza.

Augustynowicz jednak nie odpowiedział jej szczerze.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — mówiła — mam panu dużo, dużo powiedzieć.

— A i ja mam dużo powiedzieć — odparł Augustynowicz. Przychodzę jako poseł.

— Od Szwarca?

— Od Szwarca.

— Zdrowszy?

— Chory. Pelski tu był?

— Był. Właśnie o nim chciałam mówić.

— Słucham, panno Malinko.

— Oświadczył się o Lulę.

— I cóż?

— Odmówiła. Panie Adamie, ona tylko Szwarca kocha, ona do niego tylko chce należeć. Moja droga, poczciwa Lula!

Chwilę trwało milczenie.

Augustynowicza głos drżał, gdy zwolna wymawiał następne słowa:

— Ona do niego nie będzie należała.

— Panie Adamie!

— Szwarc już po słowie, żeni się.

Wiadomość ta, niby piorun, uderzyła w obie panienki. Przez chwilę było głuche milczenie.

Nagle otworzyły się drzwi od przyległego pokoju. Lula weszła do salonu.

Na twarzy jej grał rumieniec obrażonej godności niewieściej, w oczach świeciła duma.

Zdawało jej się, że podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach.

— Malinko! — zawołała — nie pytaj więcej, zaklinam cię, dość, dość! Ten pan już spełnił poselstwo, dlaczegoż się poniżać odpowiedzią?

I wziąwszy Malinkę za rękę, prawie przemocą wyprowadziła ją z pokoju.

Augustynowicz popatrzał chwilę za niemi, wreszcie kiwnął parę razy głową i rzekł:

— Na Proroka! rozumiem ją. Ona ma racyę, ale i Szwarc także. Hej, trzeba łatać, póki się wszystko nie pozrywa.

Za chwilę biegł do Pełskiego. Opowiedział mu rzecz całą.

— Jakiś fatalizm — kończył Augustynowicz — ciążył na nich. Szwarc nie mógł inaczej postąpić. Prawda, hrabio?

— Postąpił, jak mu się podobało, ale co pana skłoniło do zawiadamiania mnie o tem?

— Bagatelka! Jeszcze jedno pytanie: czy Lula odrzucając pańską rękę, nie postąpiła szlachetnie?

— Odpowiedź sobie zostawiam.

— Zostaw ją, kochany panie! Mnie wszystko jedno, mnie Lula nie obchodzi; wiem tylko, że gdy Szwarc się usunie, przyszłość jej nie będzie do zazdrości; a pan jesteś jej kuzynem... Szkoda...

Pełski zamyślił się.

— Szkoda? ha, co za szkoda?

— Że pańskie oświadczyny nie przypadły nieco później.

Pełski szerokimi krokami chodził po pokoju.

— Teraz, nigdy! — szepnął do siebie.

Augustynowicz usłyszał ów monolog.

— Za późno, za późno! kochany panie... Ale,

ale, jeszcze maleńka prośba: Nie mów nikomu, żem tu był; szczególniej nie mów u pani Wizbergowej lub Szwarcowi, jeżeli ich będziesz widział kiedy.

— Co mu na tem zależy?

— Wszystko, alebyś tego nie zrozumiał, drogi hrabio. Do widzenia.

Pelski, zostawszy sam, długo rozmyślał, coby istotnie Augustynowiczowi mogło na tem zależeć? Nie wymyślił nic, ale doszedł do przekonania, że jemu samemu mogło coś na tem zależeć.

— Mógłbym wrócić do niej, udając, że nie wiem o niczem — mówił. — Biedna Lula!

---

## XX.

Dwie panienki siedziały milczące w pokoiku Luli. Bolesne to było milczenie. Jeśli bywają ciężkie chwile w życiu, wszystkie rzuciły swój ciężar na obecną dolę Luli. Podeptano wszystko, co miała świętego w piersiach. Ona w tę miłość włożyła najlepsze cząstki swej istoty moralnej, ona zwycięstwo jej obchodziła, jak uroczystość weselną; przez siłę tego uczucia podniosła się z chwilowego upadku, zwyciężyła przesądy rodowe, odrzuciła rękę kochającego człowieka, z nią razem przyszłość spokojną, życie w do-

statku, własną niezależność, a za to wszystko zapłacono jej wieścią, że ten, którego kochała. żeni się!

O, więcej jeszcze straciła! Cała anielskość, w którą ubrały ją dni poprzednie, załamywała się dziś w gruzy zwątpienia. Dusza jej mogła wyschnąć do dna! Czyż razem z miłością nie traciła i wiary i nadziei — nie w teologicznym sensie — ale w całej ich żywotnej wartości w życiu? Ziemia usuwała się jej z pod nóg. Niby łódź bez wiosła, miała płynąć w przyszłość bez brzegu. Sierota, dziś przygarnięta przez zacne serca, jutro mogła ocucić się po prostu głodna, bez kawałka chleba; dziś jeszcze taka biała, że na jej piersiach mogłyby kwitnąć lilie, mogła w przyszłości poplamić ową białość żółcią własnej goryczy; dziś pół-dziecię prawie, wiosna, majowy ranek — miała za tyle a tyle lat oglądać bezowocną jesień życia.

Upokorzona, połamana «niby od burzy krzew», zepchnięta z posad moralnych, zabita na szczęściu, z suchem płonącem okiem, konwulsyjnie cisnęła do siebie płaczącą Malinkę. Lula nie płakała; chociażby miała jeszcze łzy do płaczu, osuszyłby je gniew.

Malinka zresztą płakała za dwie.

* * *

Nazajutrz hrabianka odebrała dwa listy: jeden od Pelskiego, drugi od Szwarca.

«Pani! — pisał Pelski. — Boleść, jakiej doznałem wskutek twej odpowiedzi, nie dozwoliła mi rachować się z własnemi słowami. Odrzuciłem przyjaźń, którąś mi ofiarowała; żałuję tego postępku. Jakkolwiek nie umiem sobie zdać sprawy z twego postępowania ze mną, widzę jednak, że wkońcu poszłaś za głosem serca. Oby ten głos nie omylił ciebie, pani! Oby twój wybrany kochał cię tyle, co ja, byłbym spokojny o twe szczęście. Nie zarzucam mu nic, nie śmiem sądzić człowieka, którego kochasz. Co do mnie, zmuszony twardą koniecznością rozstać się z nadzieją posiadania ciebie, błagam jak o największą łaskę, nie pamiętaj na słowa moje, wyrzeczone w chwili bólu, dozwól mi wrócić i upomnieć się o ową niebacznie odrzuconą przyjaźń, która w przyszłości ma mi szczęście całego życia zastąpić».

List od Szwarca przyniósł wieczorem Augustynowicz. Lula nie chciała go otworzyć.

— Nie czyń mu pani tej krzywdy — mówił błagalnie Augustynowicz — bo i tak w tej chwili mój stary może już...

Łzy dusiły go, dalsze słowa więzły mu w gardle.

— Może to już ostatnie jego słowa. Wczoraj odwiozłem go do szpitala — wyszeptał.

Lula pobladła jak płótno; zdawało się, że za chwilę zemdleje. Naprożno siliła się utrzymać spokój i chłód twarzy — cała jej postać drżała jak liść.

Bądź co bądź, kochała Szwarca.

Wzięła list z ręki Augustynowicza. List brzmiał jak następuje:

«Pani! Umiałem przenieść stratę twej ręki, ale nie twego szacunku. Czytaj i sądź! Umierający przyjaciel zostawił na mojej opiece kobietę, którą kochał całą siłą rozdartego serca, a której miłość mimowoli mu wydarłem. Po jego śmierci poznałem ją bliżej, i zdało mi się, że ją kocham. Nieszczęściem, powiedziałem jej to. Potem... Ty wiesz ukochana, co nastąpiło potem. Sam przed sobą ukrywałem nieszczęsne przywiązanie do ciebie. Ilem przecierpiał! O, daruj mi! I jam człowiek, i ja musiałem kochać, a jednak nie z moich ust dowiedziałaś się o tej miłości. Gdym wreszcie stanął przed własnem sumieniem, gdy przyszła chwila upamiętania — sądź sama, jak miałem postąpić? gdzie pójść? co wybrać? Przysięga umierającemu, słowo dane nieszczęsnej nad wyraz kobiecie, wszystko prócz serca nakazywało mi wyrzec się ciebie. Nie z mojej winy dowiedziałaś się o tem dopiero wczoraj. Wieść ta miała dolecieć ciebie razem ze zjawieniem się Pełskiego. Nieszczęście i lekkomyślność ludzka inaczej chciały. Oto stan rzeczy! Sądź — jeśli umiesz, przebacz. Adam mówi, żem chory... Tak jest, myśli mi się plączą, czuję żar krwi, a z bólu i zamętu jedno widzę jasno... że kocham, kocham cię, aniele!»

Po przeczytaniu listu resztki gniewu i dumy

znikły z czoła Luli: na jej pięknej twarzy osiadł łagodny, choć głęboki smutek.

— Panie Adamie — rzekła do Augustynowicza — powiedz mu pan, że postąpił, jak był powinien.

Augustynowicz rzucił się przed nią na kolana.

— I mnie przebacz, pani! Byłem niesprawiedliwy; krzywdziłem cię, ale ja nie znałem... jam nie wiedział, że są tacy aniołowie na świecie!...

---

## XXI.

Prosto od Wizbergowej Augustynowicz udał się do szpitala, gdzie został przez całą noc. Szwarc miał się źle i bardzo źle. Tyfus rzucił się na ten silny organizm, grożąc zniszczeniem go zupełnem. Około północy chory zaczął majaczyć; rozmawiał z sobą i sprzeczał się zacięcie o nieśmiertelność duszy z czarnym kotem, którego widział siedzącego na krawędzi łóżka. Zdawało się, że obawiał się śmierci, bo kilkakrotnie na jego twarzy malowało się nieopisane przerażenie. Lękał się i drgał bardzo wyraźnie za każdem poruszeniem Augustynowicza, chwilami śpiewał drżącym głosem i jakby przez sen różne wesołe i smutne piosenki, lub rozmawiał

ze znajomymi. Był nawet pewien przerażający humor w naturalności tonu tych rozmów. Augustynowicza, rozstrojonego i tak wypadkami dni poprzednich, drażniło to niewypowiedzianie. Z utęsknieniem wyczekiwał ranka, często spoglądając na szyby, które, jak na złość, ciągle były zarówno czarne. Na dworze była głęboka ciemność, a drobny deszczyk, zacinając w szyby, napełniał pokoik szpitalny monotonnym i przykrym dźwiękiem.

Dawno tak smutne i niespokojne myśli nie błąkały się w głowie Augustynowicza, jak w tej chwili. Wsparłszy łokieć na kolanach i ukrywszy twarz w dłonie, rozmyślał nad dziwną a gorzką plątaniną zdarzeń dni ostatnich. Czasem podnosił głowę i rzucał czujny wzrok na chorego; chwilami zdawało mu się, iż na wyschłe ostre rysy Szwarca pada mrok śmierci. Augustynowicz rozmyślał, jak ten człowiek, niedawno jeszcze tak czynnie i szeroko żyjący, za parę dni będzie może czemś martwem tylko, co zakopią w ziemię i... *finita la comedia!* Och, myśl codzienna i zwyczajna, a codzień równie gorzka dla tych, którzy muszą tak myśleć: «Koniec!... proch!...» A jednak żył pełnem życiem, wtedy sądził, wybierał, działał może i szerzej od innych. Jak pług odrzuca rolę, tak on na gruncie życia z pokładów zła i dobra dobywał dobro i...? Mimowoli człek pyta o sens moralny tej bajki. Gdzie, kiedy, na jakich gwiazdach, na jakich

planetach znajdzie się zagrobowa odpowiedź dla żyjących? Nieśmiertelność!... W oceanie czynów ludzkich może i żyją jakieś moralne atomy czynów zmarłego, ale owo: Ja — potężne, energiczne, świadome siebie — gdzie ono? A i owe czynów atomy, to niby trup majtka, spuszczony z okrętu w otchłań morską. Gdzie szukać i kto je odszuka? Czy Bóg wyłowi je kiedyś z tych fal bezbrzeżnych i odtworzy z nich nową świadomą siebie istotę? «...*è ben trovato!*»

Gorycz tych myśli osiadła teraz na sennem czole Augustynowicza, a tymczasem szyby z czarnych zaczęły się robić szare... Dniało. W pokoiku blask świecy różowiał stopniowo i omdlewał, przedmioty zaczęły się wychylać z cienia, na korytarzach słychać już było kroki służby szpitalnej. W godzinę potem wszedł doktór.

— Cóż chory? — spytał.

— Źle — odrzekł krótko Augustynowicz.

Doktór wysunął z powagą dolną wargę, namarszczył się i wziął za puls chorego.

— Co pan myślisz? — spytał Augustynowicz.

— A cóż? nic nie myślę — źle, bardzo źle!

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień ironii.

— Za to ja coś myślę profesorze, a myślę, że medycyna to bardzo głupie dziecko, co sądzi, że jak się weźmie rękami za pięty, to się podnesie do góry, nieprawda?

Doktór kiwnął parę razy głową, zapisał jakieś chłodzące lekarstwo i poszedł. Augustynowicz, spojrzawszy na receptę, znów z kolei pokiwał głową, wzruszył ramionami i siadł przy łóżku.

Tymczasem pod wieczór choremu pogorszyło się jeszcze, koło północy był prawie umierający. Augustynowicz płakał, jak dziecko i rozbijał się o ściany celki. Znów przesiedział całą noc.

Nad ranem zdawało mu się, że spostrzega lekkie polepszenie, a było to polepszenie zwodnicze. Na chorym powystępowały blade i czerwone plamy, widocznie wypalił się w gorączce i gasł.

Wieczorem przyszła pani Wizbergowa. Augustynowicz nie puścił jej do celki. Z twarzy jego poznała, iż musiała zajść coś strasznego.

— Żyje? — zawołała.

— Umiera! — odrzekł krótko.

W kilka godzin potem kapelan szpitalny kładł na Szwarca ostatnie oleje. Augustynowicz nie miał siły być przytomnym obrzędowi; wybiegł na miasto.

Potrzebował zebrać myśli, potrzebował odetchnąć; czuł, że i jemu myśli zaczynają się mącić, prawdopodobny zgon Szwarca rozrywał mu ich równowagę. Spodziewał się wszystkiego, ale nie żeby Szwarc umarł.

Sam nie wiedział, dokąd biegnie. Kilka razy zatrzymywał się, jakby z obawy, że wróci zapóźno.

Nagle jakaś myśl błysnęła mu w głowie. Spostrzegł, że stoi przed domem Heleny.

— Wejdę. Niech go pożegna.

W półgodziny potem Helena klęczała przy łóżku Szwarca. Rozwinięte jej włosy leżały w szerokich splotach na pościeli; rękoma obejmowała stopy chorego, twarzą spoczęła na nich.

W salce szpitalnej cisza panowała jak w grobie, słychać było tylko szybki, urywany oddech chorego.

Tak upłynęła długa, przeklęta noc, której każda minuta zdawała się być dla Szwarca ostatnią. Wreszcie trzynastego dnia od początku choroby nastąpiło przesilenie.

Choremu było stanowczo lepiej.

Koło jego łóżka siedzieli nieodstępnie Augustynowicz i Helena; ta ostatnia zdawała się zapominać o świecie przy tem łożu. Razem z życiem Szwarca wracało i jej życie. Cieszyła się do szaleństwa każdym, choćby najmniejszym objawem polepszenia.

Wreszcie Szwarc oprzytomniał.

Augustynowicza wtedy nie było; pierwszą osobą, którą ujrzał, była Helena.

Chory popatrzał na nią chwilkę; na jego czole znać było pewną pracę myśli.

Wreszcie przypomniał ją sobie.

Uśmiechnął się.

Widoczne było wysilenie w tym uśmiechu.

mimo to Helena ze łzami radości rzuciła się na kolana.

Augustynowicz jednak, wróciwszy, spostrzegł, iż obecność jej niepokoi chorego, a nawet męczy. Szwarc ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku, wodząc oczyma za każdym jej ruchem.

Właściwa tylko starym lub chorym ludziom, bezmyślna gęstykulacya poruszała mu wargi.

Augustynowicz pilnie śledził bieg źrenic Szwarca. Przeczuwał coś niedobrego.

Tymczasem, jak zwykle, pod wieczór zwiększyła się gorączka, ale mimo to chory usnął. Augustynowicz namawiał Helenę, by poszła do siebie odpocząć.

— Ani na chwilę go nie odstąpię — odrzekła z niezwykłą sobie stanowczością.

Augustynowicz siadł w milczeniu na krześle i zadumał się głęboko; wkrótce głowa zaczęła mu ciężyć, powieki stawały się ołowiane, nieubłagana senność chwytała go coraz bardziej, opuścił głowę na piersi, kiwnął się w prawo, w lewo i usnął.

Za chwilę ocknął się.

— Śpi? — spytał, spojrzawszy na chorego.

— Śpi, ale niespokojnie — szepnęła cicho Helena.

Augustynowicz znów pochylił głowę.

Nagle rozbudził go krzyk Heleny.

Chory siedział na łóżku w paroksyzmie gwałtownej maligny; twarz mu płonęła, oczy błysz-

czały jak u wilka, wyschłą rękę wyciągał ku Helenie.

— Co to jest? — krzyknął Augustynowicz.

Helena konwulsyjnie schwyciła go za ręce; czuł, jak drżała na całem ciele.

— Nie dręcz mnie! — szeptał chrapliwym, urywanym głosem chory. — Zabiłaś Gustawa i mnie chcesz zabić teraz... Precz, ja ciebie nie kocham! precz!...

Znów upadł na łóżko.

— Lulu, Lulu moja! ratuj mnie! — szepnął.

Augustynowicz prawie przemocą wyprowadził Helenę z celki. Na korytarzu słychać było przez chwilę szybką ich rozmowę i powtarzane imię hrabianki. Wreszcie Augustynowicz wrócił sam.

Był blady, grube krople potu spływały po jego czole.

— Wszystko skończone! — szepnął.

* * *

Helena biegła, gnana rozpaczą. Słowa Szwarca i krótka rozmowa z Augustynowiczem rozdarły krwawą błyskawicą wiele ciemnych dla niej okoliczności. Biegła bez celu, byle naprzód. Myśli paliły ją jak ogień, a raczej nie były to już myśli, lecz gnane wichrem w szalony skręt kolisko iskier. Miasto w godzinę wieczorną świeciło tysiącem świateł, patrzało na nią jasnemi

szybami spokojnych ognisk domowych — ona biegła naprzód. Na ulicy płynął, jak zwykle tłum ludzi, kilku przechodzących obejrzało się za nią; jakiś młody człowiek przemówił coś do niej z uśmiechem, ale spojrzawszy jej w oczy, cofnął się przestraszony: ona biegła naprzód. Wreszcie ulice zmieniły się w uliczki, stawały się pustsze, ciemniejsze, w szybach nie było już widać świateł — tam spracowana ludność spała po znoju dziennym, zrzadka gdzie błysnęła latarka lub odezwały się echem kroki. Noc była wilgotna, ale spokojna; jakiś gniotący ciężar wisiał w powietrzu. Od Dniepru tylko dolatywał surowy powiew; wodna mgła osiadała kroplami na odzieniu i włosach Heleny. Ona biegła przed siebie. Nerwowe kurcze wykrzywiały jej twarz. Mimo chłodu, zdawało jej się, że z nieba pada ogień na jej głowę, piersi i ręce. Ogniki te zdawały się tańczyć i kręcić koło niej, a w każdym widziała na przemian twarze Szwarca i Gustawa. Zgubiła wierzchnie okrycie, wiatr zerwał jej kapelusz, wilgoć rozwiązała włosy. Kilkakrotnie upadała. Wkrótce wśród nocy i pustki znalazła się sama. Gonił ją tylko daleki gwar miasta i szczekanie psów w dzielnicy, przez którą biegła. Uciekała wciąż naprzód. Nie czuła ani zmęczenia, ani bólu, myśli jej zbiegły wszystkie do jednego środka, którym było jej nieszczęście. Komu miłość zabierze część życia, płaci jego częścią zawody; dla He-

leny miłość była wszystkiem. Znowu istnienie jej przestawało mieć sens. Czara była rozbita. Nie było dla niej przebaczenia, choć «wiele kochała», mógł być tylko spokój — nie w życiu, ale po za życiem.

Tymczasem biegła naprzód, ale siły opuszczały ją. Usta jej były spieczone, oczy mętne, odzież obryzgana błotem, pokryta wilgocią. Upadała coraz częściej, czasem podnosiła do góry głowę, chwytając łakomie ustami powietrze. Grunt, po którym biegła, stawał się coraz wilgotniejszy. Zdala słychać było łkanie i ową dziwną rozmowę wody, pół kapryśną, pół smętną. Helena zatrzymała się chwilę nad brzegiem.

Nagle zamknęła oczy i, wyciągnąwszy przed siebie ręce, rzuciła się naprzód.

Równocześnie z pluskiem wody rozległ się jej krzyk, krótki, przytłumiony falą, ostatni.

Potem nastała cichość. Na niebie była noc głęboka.

---

## XXII.

«Dziwnie się wszystko plecie, na tym tu biednym świecie» — powiedział stary poeta. To pewna, że nieraz życie tak się poplącze, że chyba je, jak ongi węzeł gordyjski, rozciąć potrzeba.

Tak było i ze Szwarcem. Przed kilku laty przybył pełen zaufania we własnych siłach; zdawało mu się, że nietylko swoje, ale i cudze losy popchnie na obraną zgóry drogę, tymczasem przekonał się, że w krótkim czasie stracił ster nawet i własnej łodzi. Zostawiono mu było rzucać się i ratować wedle woli, ale płynąć musiał tam, dokąd wiatr wiał. A przytem i szczęścia mało miał w życiu. Jak wszystkim, tak i jemu, życie, lub raczej nadmiar owego wrzątku lat młodych, wylać się musiał w jednym tylko, a zaiste, nader ciasnym, kierunku miłości do kobiety. Ciasno było w tych brzegach, więc potok płynął zbyt gwałtownie; to też w całej przeszłości Szwarca zaledwie kilka było chwil spokojnych. O mało nie zapłacił życiem za przeszłość, a dalibóg, nie było za co płacić. I po ostatnim wypadku z Heleną niebezpieczeństwo mogło się wznowić. Augustynowicz obawiał się recydywy; szczęściem, obawy jego nie sprawdziły się, Szwarc miał się coraz lepiej. Trudno było przewidzieć, jak długo przyjdzie mu jeszcze poleżeć w łóżku, osłabienie po ciężkiej chorobie było ogromne, ale powrót do zdrowia zapewniony. Augustynowicz, jak mógł i umiał, skracał mu długie godziny szpitalne, ale napróżno wysilał się na dawny swój humor. Ostatnie wypadki uczyniły go poważnym i małomównym. Stracił wiele z dawniejszych nawyknień. Od czasu choroby Szwarca nie był naprzykład ani razu u Wizbergowej, która dość

często przychodziła dowiadywać się o zdrowie Szwarca. Ale jeżeli w ten sposób podziałały na Augustynowicza wypadki dni ostatnich, o ileż więcej zmienił się Szwarc. Z długiej choroby powstawał zupełnie innym człowiekiem. Nie był to już ów żywy, sprężysty i nieugięty temperament. W ruchach jego była dziś powolność, we wzroku ociężałość i jakby lenistwo. Augustynowicz przypisywał to, i słusznie, koniecznemu po takiem przejściu osłabieniu, ale wkrótce spostrzegł w chorym inne, dawniej nieznane mu objawy. Jakaś dziwna obojętność, prawie apatya, przebijała się w jego słowach. Zaczynał rozglądać się w świecie na nowo, ale patrzał zupełnie inaczej. Zdawał się nie być zdolnym do żadnych żywych uczuć. Przykro było patrzeć nań; zmiany dotknęły nietylko moralnej jego strony, zmienił się i fizycznie: wyłysiał, twarz mu schudła i wybielała, oczy patrzały sennie, straciły dawny połysk. Leżąc po całych dniach bez ruchu, wpatrywał się godzinami w jeden punkt na suficie lub spał. Obecność czyjakolwiek nie zdawała się go obchodzić.

Niepokoiło to wszystko Augustynowicza, zwłaszcza gdy zauważył, że mimo szybkiego powrotu sił fizycznych, objawy te jeżeli ustępowały, to bardzo zwolna. Augustynowicz wzdychał, wspominał dawnego Szwarca, i pracował nad rozbudzeniem teraźniejszego, ale robota była trudna.

Pewnego razu Augustynowicz, siedząc przy łóżku chorego, czytał mu głośno. Szwarc leżąc nawznak, wedle zwyczaju patrzał w sufit, widocznie myślał o czem innem, albo nie myślał o niczem; jednakże po niejakim czasie znużenie wybiło się na jego twarzy. Augustynowicz przerwał czytanie.

— Chcesz spać, stary?

— Nie, ale nudzi mnie ta książka.

Augustynowicz czytał «Damę kameliową«.

— A jednak jest tu życie i prawda, mój stary.

— Tak, tylko za grosz niema rozsądku.

— No, ale książka podnosi kwestyę kobiet takich...

— A co kogo takie kobiety obchodzą?

— Niegdyś cię obchodziły.

Szwarc nie odrzekł nic; na twarzy jego znać było lekkie zamyślenie. Po niejakim czasie odezwał się:

— Co się dzieje z Heleną? Ona tu była?

Augustynowicz zmieszał się.

— Była, stary... była.

— No, a teraz?

— To jest... tak... niby chora... mocno chora

Twarz Szwarca pozostała obojętną.

— Cóż jej jest? — spytał leniwie.

— Jej?... ona... Ot, powiem ci prawdę, tylko się nie przestrasz.

— No?

— Helena nie żyje?... utopiła się.

Po twarzy Szwarca przemknęło nieokreślone jakieś wrażenie; zrobił usiłowanie jakby się chciał podnieść na łóżku, po chwili jednak opuścił głowę na poduszki.

— Wypadkiem? naumyślnie?... — spytał.

— Odpocznij, stary, odpocznij; nie wolno ci jeszcze dużo rozmawiać. Później opowiem ci wszystko.

Szwarc obrócił się do ściany i pogrążył w milczeniu. W tej chwili wszedł posługacz szpitalny.

— Pani Wizbergowa pragnie z panem mówić — rzekł do Augustynowicza.

Augustynowicz wyszedł; na korytarzu oczekiwała pani Wizbergowa.

— Co się stało? — spytał z przestrachem — czy znów kto zachorował?

— Nie, nie!

— Cóż więc?

— A to Lula odjechała — mówiła żałosnym głosem pani Wizbergowa.

— Dawno?

— Wczoraj wieczorem. Byłabym tu zaraz przyszła, bo to już z tydzień nie dowiadywałam się o Szwarca, ale Malinka tak była zmartwiona i zapłakana, że nie mogłam jej opuszczać. Odjechała Lula, odjechała!

— Skądże jej?

— Dużo byłoby opowiadać. Może we dwa tygodnie, od czasu jak Szwarc zachorował, przy-

szedł znów do nas Pełski, a wkrótce po raz drugi oświadczył się Luli. Miała z tego powodu niemało zmartwienia, bo widocznie człowieczysko przywiązał się do niej serdecznie. Tak. Mimo to odmówiła, dając za przyczynę, że nie wyjdzie zamąż bez przywiązania. Ja dosyć lubiłam tego Pełskiego. Ale to nie do rzeczy! Odmówiła zwyczajnie, poczciwa, szlachetna dziewczyna. Co też ona się nacierpiała w czasie choroby Szwarca! Ale to znów nie do rzeczy. Z Pełskim rozstali się jednak bez gniewu, i on to, niezawodnie on, wynalazł jej to miejsce w Odessie. Wystaw pan sobie zdziwienie, gdy przed kilku dniami przyszła do mnie i oświadczyła, że tylko choroba Szwarca wstrzymywała jej wyjazd, ale teraz, gdy Szwarc zdrowszy, ona nie chce być mi dłużej ciężarem, chce pracować na kawałek chleba i wyjeżdża. A, mój Boże, czy ona mi była ciężarem? Malinka ukształciła się i nabrała poloru przy niej; zresztą, kochałam ją, kochałam jak własną córkę.

Poczciwa stara dama była srodze strapiona. Augustynowicz zamyślił się, wreszcie po długiej chwili milczenia rzekł:

— Nie, dobra pani! Ja Lulę rozumiem. Kiedy przyjęła u was mieszkanie, była to jeszcze zepsuta i kapryśna dziewczyna, która sądziła, że przyjmujecie ją dla jej hrabiowskiej korony i własnego zaszczytu, dziś ona zupełnie co innego...

— Alboż ja jej co zarzucam! — przerwała pani Wizbergowa.

— Nie o to chodzi. Pojmuję, jak paniom przykro musiało być rozłączyć się z nią, i szkoda, że mi pani nie dała wcześniej znać o jej zamiarze. Osoba, z którą Szwarc miał się żenić, nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak jest. Ale z drugiej strony, prócz smutku dla pań, nic więcej złego ten wyjazd nie przyniesie. Szwarc nie złożył egzaminów doktorskich, przedewszystkiem musi o nich pomyśleć, bo to jego kawałek chleba. Kiedy wyzdrowieje i zapewni sobie utrzymanie, trafi za nią i do Odessy, ale na to potrzeba czasu. Szwarc bardzo się zmienił; nic nie szkodzi, że Lula zrobiła wszystko, co może ją jeszcze bardziej wynieść w jego opinii.

Pani Wizbergowa odeszła ze ściśniętem sercem. Augustynowicz stał chwilę w miejscu, wreszcie otrząsnął się z zamyślenia i szepnął:

— Odrzuciła drugi raz rękę Pelskiego... chce pracować na siebie!... Och, Szwarc, Szwarc! choćby przez większe od twoich cierpienia dojść...

Nie dokończył zaczętej myśli, machnął ręką i wszedł do celki.

— Czego chciała Wizbergowa? — spytał apatycznym głosem Szwarc.

— Lula wyjechała do Odessy — odrzekł szorstko Augustynowicz.

Szwarc zamknął oczy i pozostał przez długą chwilę nieruchomy. Wreszcie odezwał się:

— Szkoda! To dobra była dziewczyna ta Lula.

Augustynowicz ścisnął zęby i nie odpowiedział nic.

* * *

Przyszła wreszcie chwila, w której Szwarc wyszedł ze szpitala, a w miesiąc później ukończył egzamina doktorskie. Było to w jasny jesienny dzień, dwaj przyjaciele wracali z dyplomami w kieszeniach do domu. Twarz Szwarca nosiła na sobie jeszcze ślady choroby, ale zresztą był zdrów zupełnie, Augustynowicz prowadził go pod rękę; przez drogę rozmawiali o przeszłości.

— Siądźmy tu oto na tej ławce — mówił Augustynowicz, gdy weszli do ogrodu. — Sliczny dzień. Lubię wygrzać się na słońcu w dzień taki.

Siedli. Augustynowicz wyciągnął się wygodnie, odetchnął i rzekł wesoło:

— Cóż, stary! Od trzech miesięcy powinnibyśmy mieć w kieszeni te marne świstki, które mamy dopiero dzisiaj.

— Tak. Otóż i jesień — odparł Szwarc, odrzucając laską kilka zżółkłych liści leżących wedle ławki.

— Ba, liść pada z drzewa, a ptactwo ciągnie

na południe — mówił Augustynowicz. — Potem, zniżywszy głos i ukazując szybujące po nad drzewami stado pliszek, podał:

— A czy za tymi gońcami słońca i ty nie pociągniesz na południe?

— Ja? dokąd?

— Nad Czarne morze, ku Odesie.

Szwarc pochylił się i pozostał przez długi czas milczący; gdy podniósł głowę, na twarzy malowała mu się prawie rozpacz.

— Już jej nie kocham, Adamie! — wyszeptał.

* * *

Wieczorem tego dnia Augustynowicz rzekł do Szwarca:

— Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą *na marne*.

LP
S5724
48613
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.74

DATE.

NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET